№ 37 Piątek, dnia 11 Czerwca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia 30 Maja (11 Czerwca)
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Bielańskiej
Nr 8 nowy.

Z KWESTYI PRACY.

skreślił

Kazimierz Niemierowski.

II.
Ludzie bezpracowi.

Niechaj nas nikt nie posądza o zapał kaznodziejski, moralizowanie, lub narzucanie swych poglądów czysto miejskich... ogółowi, daleko nam od zarozumiałości, nie jesteśmy świętoszkami, wiemy że każdy z nas ma swoje wady jako człowiek, słowa nasze są prostą gawędą jakoby w kółku rodzinnem; sądzimy iż przedmiot naszych myśli jako dotykalnie obchodzący ogół całego społeczeństwa jest ogniskiem, przy którem codziennie gromadzą się wrażenia wypadków i spostrzeżeń naszego miejskiego życia.

Warszawa jako dość wielkie i ludne miasto ma swoje tajemnice, ale te jako po większej części dotykalnie szkodliwe ogółowi, są na szczęście nasze tylko przypuszczalnym sekretem pojedynczych indywiduów, w rzeczy zaś samej nie istnieją one dla przeważnej części ogółu; dla czego zaś tak jest a nie inaczej?... nic nad to prostszego.

Ludność miasta, przez pewien przeciąg czasu, mimo woli, zestosunkowywa się... jednoczy, jakoby w jednę rodzinę. Rodzina to dziwna, nie związana sercem, lecz zaledwie stosunkami pośredniemi, kombinującemi się mimowolnie, a samo ześrodkowanie tych stosunków jest często tajemnicą dla swych aktorów. Głównym tu czynnikiem jest interes utrzymania bytu, jużto handlowy lub przemysłowy, już to naukowy lub urzędowy wreszcie, gdzie osoby działające posiłkują się często li tylko nazwiskiem lub korespondencyą a czasami i osobistością.... Chwila, w której interes pewien zaledwie związany zostaje pierwszą informacyą—już kończy stosunek osobisty działających—czy to bezpośrednio, czy tylko pośrednio osób; zacierają się w pamięci te obce twarze—i dopiero po pewnym przeciągu czasu, tenże sam zbieg okoliczności zbliża je znów ku sobie!...

Nie rzadko zdarza się, że owe chwilowe stosunki zamieniają się w znajomość więcej serdeczną... wówczas przy pogawędce każda strona wylicza swe stostunki znajomości bliższej i dalszej... i centralizuje się owa sieć rodzinna miasta jakto poprzednio wspomnieliśmy. A głównym bodźcem tego węzła czy więcej czy mniej ścieśnionego jest zawsze i wszędzie... byt... praca!...

Czy mamy jaką korzyść badając tę kwestą?... bezzawodnie mamy!... bo jak mówi przysłowie: „*Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi*," a chcemy właśnie prostą drogą i słowy otwartośei uprzedzić pewną część ludzi, których głównym interesem jest otoczenie się siecią niewidzialności, że kroki ich życia nie są żadną tajemnicą dla ogółu!... Tym bardziej, iż zetknięcie się z nimi wypadkowe—demaskuje ich, wrażeniem jakby ukąszenia pijawki... i że oczewistą jest rzeczą, iż incognito owe tak ważne dla nich, sami psują... naturą swego powołania i czynami?

Chcemy tu powiedzieć słów parę o tych ludziach, którym trudnoby rzeczywiście dowieść czy mają jaki widomy lub niewidomy środek utrzymania się w mieście tak kosztownem jak nasze i... czem są rzeczywiście owi czarnoksiężnicy!... Fachu ich zaiste trudno dociec... nie znają bowiem rzemiosła żadnego!... nie prowadzą interesów handlowych... nie urzędują w żadnem biurze ani instytucyi... nie malują... nie grają na żadnym instrumencie... nie piszą... a nawet nie śpiewają!... ale natomiast... ubierają się—jedzą—piją i bawią się... *con amore*... o takich to przemysłowcach—filozofach obojej płci, egzystujących wśród miasta naszego, miasta pracy i kłopotów o byt codzienny—słów parę powiedzieć chcemy....

Co stanowi rzeczywisty dobrobyt każdego kraju?... tylko rozwój jego działalności na każdym kroku—w każdej gałęzi — dającej możność wyeksploatowania jej zasobów materyalnych, i każda jednostka społeczna przyczyniać się winna do rezultatów tej pięknej idei. A wieleż to kłopotów, zachodu i usilnej potrzeba pracy, aby niejednokrotnie z materyału zupełnie surowego—wyrobić sobie można źródło jakiego takiego dochodu i nędznej częstokroć korzyści!... i któż to robi? kto z przejęciem się a często i zaparciem siebie samego oddaje się cały na ofiarę zawodów?... oto członek społeczeństwa dążący z pewnym celem w przyszłość,—człowiek—który wiernym będzie do grobu tej świętej idei: „zbrodnię popełnia ten—kto przy całym zasobie moralnych i fizycznych sił—staje się ciężarem społeczeństwa."

Zamiłowanie próżniactwa—jest bardzo bliskim sąsiadem zbrodni... a ludzie którzy ciążą na szali społecznej z ujemnej jego strony... *ludzie bezpracowi*... ludzie spekulujący na wyzyskanie cudzego dobra i ciężko zapracowanego grosza bliźnich swoich—są to zbrodniarze gorsi stokroć od owych bezrozumnych istot błędu—których światło inteligencyi na tej drodze powstrzymać nie może!... A na nieszczęście—mamy takich ludzi próżniaków—bardzo wielu... są oni wszędzie, tam zaś ich najwięcej, gdzie polor powierzchownej przyzwoitości—ma swoje prawa w społeczeństwie.

Biada ojcom, których dzieci dostaną się w ręce takich pasożytów; są to pająki które bardzo minsternie potrafią związać sztuczną sieć by wplątać w nią niedoświadczonych wyrostków. Biada mężom, w których domu pojawi się ten potwór—ta ruina moralna spokoju i uczciwości rodzin!... Biada żonom i dzieciom, gdy podobny przyjaciel ojca rodziny rozpocznie szereg swych prelekcyi o pracy i miłości rodzinnej!... Zresztą... gdzież ich nie ma?... potrafią wkręcić się do najzamożniejszych domów... do salonów wchodzą z pewnością siebie—podają do przywitania rękę, która przed chwilą obdarła z ostatniego grosza biedne dziecko rękodzielnika!.... A jak umiejętnie potrafią rozdzielić swe niecne zdolności dla dobra ogółu!.. są szulerzy vel towarzysze na czwartego, są bilardziści niby z musu, są koneserzy koni, keneserzy ekwipaży, są mistrze sztuki kulinarnej... ofiary a la cicerone; ci dają ująć się prośbom i przewodniczą festynom i różnym uroczystościom i zebraniom... są modele mody, wyrocznie szyku dla najpierwszej młodzieży. Tysiące innych sztuk mają na zawołanie jakoby akrobaci czystej wody... poniewierają siły i zdolności—płaszczą się—wyzsykują gdzie mogą grosz wdowi... aby tylko próżnować.... A jednak gdyby zmysł ten złego skierowali na prostą drogę życia i wyczerpali tyle sił w kierunku zacnym i szlachetnym... jakąż pomoc wnieśliby w koło pracy społecznej.... Wady ducha... brak pierwszych zasad wiary w Boga i w to co zacne i piękne, są tu głównym powodem uporu moralnego i katastrofą całego społeczeństwa.

Radzibyśmy zapuścić zasłonę na ten smutny obraz czarnej strony społeczeństwa naszego—ale dla równowagi poglądu i z pobudek czystej szczerości dla zacnych naszych czytelników, jeszcze słów parę lecz tym razem wyłącznie płci pięknej poświęconych... płci która mając z natury samej większy zasób serca i tkliwości, może raczy zrzucić ze siebie jarzmo skargi ogółu i stanąć czystą przed okiem społeczeństwa choćby na drodze rehabilitacyi.... Niestety! z bólem serca przychodzi nam powiedzieć, że w rzędzie tych próżniaków społecznych są i kobiety... są to

jednak tylko te kobiety, które mając prawo do pewnej pozycyi w świecie tłómaczą się, iż pracować nie umieją. Ależ te kobiety mają dorastające córki; tą samą drogą kształcone i one także to samo powtarzać będą, iż pracy nie znają... zwalając całą winę na swe rodzicielki, na sposób kierowania ich umysłem, sercem i przyszłością! To straszne niestety... a jednak dość częste!

Znamy osobiście dotykalne ofiary tych kobiet... kobiet znanych z pozornej przyzwoitości... a jednak są to poprostu próżniaki—wyzyskiwaczki dobrego serca ludzi zacnych i miłosiernych!... Zajrzawszy bliżej do tajników ich mieszkań... znajdziemy tam zupełne biuro ekspedycyjne listów rozczulających litość!... wyzyskują grosz, który godziłoby się dać prawdziwie biednym kobietom—kobietom schorowanym i wycieńczonym pracą a obarczonym liczną rodziną; tym które wstydząc się żebrać o grosz lub posiłek... umierają w kąciku z głodu i troski!...

Powiecie może, dlaczego są łatwowierni, którzy dają się wyzyskiwać?... Odpowiem wam na to, że kto jest miłosierny i im bardziej miłosierny, tym więcej ufa w dobrą stronę ludzi i nieprzypuszcza tej zbrodni wyzyskiwania! Czy sądzicie, że kobiety tego rodzaju kontentują się nawet stałym dochodem miłosierdzia?... nie!... bo próżnując szukają sobie rozrywki i przyjemności... a takie matki jakąż przyspasabiają rodzinę społeczeństwu?... O! jakąż mamy ochotę imiennie wskazać parę tych domów obłudy, aby ustrzedz łatwowierne serca tych... którzy grosz ostatni niosą na otarcie łez nieszczęśliwszych od siebie istot!

Ha!... a cóżby było lepszego jak użycie tego środka na tych potworów społecznych?... może to nastąpi w przyszłości, dziś tylko to dodam, że ludzie pracy winni wskazywać drzwi każdemu z pasożytów, powinni wskazywać ich sobie na ulicy i w towarzystwach, aby przekonać tych nieszczęśliwych obłąkanych moralnie—że znani są ogółowi, że są cenieni jako plaga egipska — i aż do czasu póki nie wezmą się do pracy, każdy człowiek z poczuciem honoru uciekać będzie od nich jak od zarazy społecznej!...

Mój Boże!... a wszak tak niewiele potrzeba do ich rehabilitacyi... a tak wiele środków mają do tego — tylko ich dobrej woli brak widocznie, bo prawdę powiedziawszy czyż mało mają dobrych wzorów na łonie częstokroć swych własnych nawet rodzin?

Radzibyśmy, aby te słowa nasze, nie były głosem wołającego na puszczy, i aby pobudki jakie nas skłoniły do skreślenia tych kilku wyrazów—były uznane jako wypływające li tylko z prawdziwej miłości bliźniego.

PRZEGLĄD LITERACKI.

(Dokończenie)

Antoni Kowalski wychowany kosztem hr. Medarda wraca do kraju pełen postępowych i głębszych pojęć. W kraju (w Galicyi) puszcza na widok publiczny kilka broszur, któremi naraża sobie duchowieństwo, arystokracyą i wszelkie konserwatywne i społeczne żywioły. P. Antoni jest to człowiek pełen zdolności i niezwykłych przymiotów umysłu. Dlatego też pragnie go pozyskać dla demokratycznej partyi swojej, bardzo zacny redaktor dziennika, z drugiej strony usiłuje go przeciągnąć do siebie hrabia Medard, człowiek rozumny i umiarkowanie postępowy. Antoni naturalnie wchodzi na współpracownika do gazety demokratycznej, jako demokrata do szpiku kości. Antoni nie poprzestaje na sławie autorskiej, która tak szybko urosła jak grzyby po deszczu, ale ufny w swój talent i wymowę, dobija się kandydatury na posła, popierany bardzo przez stronnictwo swoje, podniecany gwałtowną ambicyą i niemało także miłością dla Jadwigi, wychowanicy hrabiego Medarda. Kandydatura Antoniego upada wobec zawiści niechętnych mu we własnym obozie (czerwony Urban) i wobec przeszkód jakie sam zbudował puszczeniem na widok publiczny broszur wyklętych z ambony, wobec ludu, demokratycznie wprawdzie usposobionego, niemniej jednak religijnego. Antoni rozjuszony upadkiem kandydatury, pisze gwałtowny artykuł, piorunujący na demokratów, nie chcących, albo raczej nie umiejących ocenić zdolności niezwykłych.

Namiętny ten artykuł posyła bohater nasz swemu redaktorowi, domagając się jak najspieszniejszego wydrukowania go w szpaltach demokratycznego organu. Redaktor, jako człowiek umiarkowany, uważa wydrukowanie podobnego artykułu za rzecz szkodliwą sprawie własnego stronnictwa, reflektuje więc Antoniego i artykułu drukować stanowczo nie radzi. Antoni znów stawia swoje ultimatum: albo redaktor wydrukujesz artykuł, albo zrywam z dziennikiem. Kolizya ta kończy się wystąpieniem Antoniego z demokratycznego organu. Wtedy też następuje zbliżenie Antoniego z hr. Medardem i przejście Antoniego do stronnictwa tegoż hrabiego ułatwione udogodnionemi okolicznościami. Jadwiga, wychowanica hrabiego Medarda, w zasadach swych raczej demokratka, w przejściu ukochanego przez siebie Antoniego, nie widzi przeniewierstwa, sądzi bowiem, że Antoni uczynił to z przekonania. Podsłuchawszy jednak mimowolnie rozmowę, z której dowiaduje się, że Antoni przeniewierzył się dawnemu obozowi, dla celów samolubnych i dla pieniędzy, porzuca kochanka mimo gorącej miłości swojej i wstępuje do klasztoru. Antoni kończy żywot swój na delirium tremens, albo na coś podobnego. Jednocześnie spokojnie i wytrwale pracujący Władysław, brat Jadwigi, żeni się z Kornelką, córeczką emancypacyjnie żyjącej baronowej.

Obecnie możemy zapoznać się bliżej z psychologią głównego aktora. „Nie należał bowiem do ludzi—powiada autor—którzy umieją być serdecznymi i przyciągać do siebie. Owszem, w obejściu jego, było coś co odsuwało ludzi od niego i robiło ich nieśmiałymi; łatwiej go było szanować niż kochać. Małomówny i chłodny, nie umiał zjednywać sobie serc i zdawało się, że tego nie potrzebował."

Czybyście uwierzyli czytelnicy, że tak oryginalnie i niepospolicie zarekomendowany człowiek przedstawi się wam jako najbezbarwniejsza i najsłabsza istota. Czy słowa tu przytoczone nie pasują Antoniego odrazu na niezwykłego człowieka. Jeżeli autor chciał nam przedstawić człowieka tak zmiennego jak Antoni, nie powinien był takiemi rysami zarekomendować swego bohatera. Rekomendacya ta została bardzielj jeszcze wzmocnioną początkową działalnością Antoniego. Jestto bowiem, jak się wkrótce pokazuje, człowiek nieugięty i gwałtowny, który omijanie przeszkód i trudności nazywa małodusznością i tchórzostwem (str. 231). Wszelako ten z marmurowego kamienia wykowany bohater, dla uspokojenia swego ojca ex-ekonoma, idzie do spowiedzi wbrew własnemu przekonaniu. Zmiękczony łzami ojca, z kłamstwem na ustach, zbliża się do konfesyonału. W postępku tym nie było nic demonicznego i postępkiem tym nie osiągnął on żadnych wyższych celów egotycznych. I ten człowiek, który puszczał w świat piorunujące broszury, który uderzał na przeciwnika *coute que coute*, który za sobą spalił wszystkie mosty, ten niezwyczajny Antoni Kowalski, mięknie pod łzą dobrodusznego ojca. Przyznacie, że to w największych

---

U OGNISKA.

Upłynął maj i nie mieliśmy wiosny, a czerwiec na samym wstępie parzy nas upałami. Co począć—znać już przeznaczeniem człowieka zbierać zaledwie okruchy słodyczy w życiu, a natomiast mieć utrapień do zbytku.—I Warszawa od nich nie jest wolną.—Cóż mamy w lecie, a zwłaszcza w obecnej chwili?—Oto i żar afrykański nad głową—w powietrzu woń przypominającą siarkowodór z powodu braku odpowiedniej kanalizacyi—bruk kaleczący nam nogi — kurz zapychający nozdrza i usta, oczy i uszy—wapno i pecynę spadającą na plecy z domów odświeżanych—a w dodatku, co krok, straszliwy widok katowania koni przez oprawców zwanych dorożkarzami. Oto suma codziennych naszych przyjemności, od których przecież wypada wyosobnić wyborną orkiestrę Fliegego, co prawda grywającą aż w Dolinie Szwajcarskiej—teatrzyki ogródkowe, gdzie pewna klasa publiczności wydrwiwa sceny najsentymentalniejsze, popisując się z nieporównanym dowcipem—ha, mamy jeszcze cyrk, gdzie klowny wycinają sobie zamaszyste policzki—mamy do oglądania cztery centnary mięsa, skupionego w osobie *mademoiselle Marie*, która z naszych kieszeni kilkadziesiąt rubli dziennie wyłudza—mamy teatr zastępujący zarazem łaźnię—a będziemy mieć jeszcze akrobatów murzyńskich wkrótce spieszących z Krakowa do Warszawy. I co tu mówić o utrapieniach wobec tylu słodyczy, które jednak w każdej chwili przypominają nam fragment z poematu *Kirgiz:*

> Możeli człowiek mający serce
> Więzić się pośród murów ciasnoty i t. d.

Myśl też naszę wobec tej ciasnoty, absorbuje wieś, zieleń, kwiaty, las, przestwór, stepy. Kto może, na chęciach bowiem nikomu nie zbywa, wyrusza za rogatki lżej odetchnąć powietrzem—lub przenosi się choćby na kilka tygodni na wieś. Duszno nam i ciasno jak w grobie, w rozprażonych od słońca murach, w których zamało dla naszych piersi powietrza, a zawiele wyziewów.

Wspomniałem o pastwieniu się nad końmi dorożkarzy, i powracam do tego przedmiotu. Przechodzimy codziennie ulice miasta, i patrzymy na ohydny widok tortury tych biednych zwierząt. Dla mnie obraz tych ofiar z powybijanemi oczyma, z okaleczałemi nogami, z wydartemi od rzemienia lub sznura bokami, jest niesłychanie męczący. Stan tych istot iście opłakany, a jednak nie obudza w nas prawie żadnego objawu litości. Towarzystwo opieki nad zwierzętami, spełnia swe zadanie jak może, ale jeszcze nie zaradza złemu—potrzeba mu nietylko gorliwych członków, ale i pomocy stójkowych, nie zawsze zwracających uwagę na to bezecne prześladowanie zwierząt.—Anglicy radzą sobie nierównie lepiej.—Okrucieństwa popełniane tam na zwierzętach, oburzyły do żywego przyrodników Albionu. Poważni profesorowie, Huxley, Darwin, Thompson, i inni, porozumieli się niezwłocznie z członkami obu izb, a w skutek tej narady przedstawionym ma być w izbie wyższej przez lorda Cardwella, a w niższej przez Dra Playfaira, projekt do prawa powstrzymującego owe nadużycia. W projekcie podanym jest między

zmiennikach nie bywałe *salto mortale*! Na to trzeba istotnie być chyba — Antonim Kowalskim... Powinieneś panie Antoni mieć znaczną pretensyą do pana Bułuckiego, że cię na wstępie tak pompatycznie zarekomendował, w skutek czego daleko więcej spodziewaliśmy się po tobie. Zawód to zaiste gorzki! Następnie znów sprawiasz nam prawdziwą niespodziankę. Redaktor nie chce wydrukować pańskiego artykułu, ponieważ uważa, że to artykuł zbyt namiętny i może zaszkodzić stronnictwu. Pan uniesiony namiętnością wyższą, zrywasz z redakcyą i z dziennikiem, który nie chce dzielić z panem przekonań krańcowych. Możnaby panu za to bić brawo, i gdyby nie owa zbytnia miękkość synowska i kłamliwemi usty wypowiedziana spowiedź, nie posądzilibyśmy pana w scenie z redaktorem o teatralność i wyższą blagę. Przepraszamy najmocniej za ten wyraz ostatni. Blagierem nie jesteś bynajmniej, ponieważ działasz zawsze na seryo. Wolelibyśmy nawet abyś nim był istotnie zamiast być... powiemy ci później czem, skoro się jeszcze bliżej poznamy ze sobą.

Kiedy chodziło o to, aby bohater zrzekł się dla dobra sprawy kandydatury swojej, wtedy zapytuje z ironią Antoni: „Czy sądzicie, żem nie dorósł do tak wysokiej godności?“ Podobno Goethe powiedział, że *nur Lümpen sind bescheiden*. Cóż więc dziwnego, że bohater nasz, człowiek tak znakomitych zdolności, w mniemaniu swojem i autora, gardzi prostaczą skromnością. „Po co mam oszukiwać świat mniszą pokorą“... „mam pewność, że nie zawiodą się na mnie ci, co mnie wybiorą“? Tak mówi o sobie nasz bohater. Taka niewzruszona pewność siebie, budzi szacunek. A jestto jeden z licznych przymiotów pana Antoniego Kowalskiego. A jeżeli zaś Antoni przeszedł do innego obozu, to przyciągany był między innemi magnesem, któremu się istotnie oprzeć nie było sposobu. Najprzód wiedział, że będzie bliższym swojej Jadwini. Następnie im więcej sobie obrzydzał stronnictwo, do którego onegdaj jeszcze należał, tym więcej czuł uwielbienia dla obozu, do którego się zbliżał, nie tyle może dla zasad, do których w zupełności, przekonać się nie mógł (rzeczywiście wysoki dowód stoicyzmu), ale dla ludzi, „*którzy mu imponowali i przyciągali go do siebie towarzyską ogładą, wykwintną formą, taktem i elegancyą, która tak przypadała do jego wybrednych pojęć estetycznych.*“ Przyznacie czytelnicy, że to pobudki, którym się nie mogła oprzeć tak estetyczna jak Antoniego Kowalskiego dusza. Marmurowy na razie człowiek zamienia się w biszkopcik. Antoni dumny przedtem wobec hrabiego Medarda, rozpłakuje się spazmatycznem łkaniem tuląc się do ramienia tegoż hrabiego za to, że hrabia dał gratyfikacyą byłemu swemu oficyaliście, ojcu Antoniego, w chwili gdy Antoni sądził, że to była pożyczka dana na rachunek przyszłych obozowych zasług nowozaciężnego bohatera. A podobnego poniżenia, Antoni znieść by nie mógł naturalnie.

Dotychczas więc Antoni złożył dowody hartu podniosłej namiętności, skromności niezwykłej o sobie i bardzo męskich łez. Zobaczymy zaraz, że umie być cywilnie odważnym. Oto na stronnicy 560 dowiadujemy się, że Antoni wstąpił na obiad do jednej z celniejszych restauracyi, uczęszczanej najwięcej przez złotą młodzież „*nie miał bowiem odwagi bywać tam, gdzie poprzednio, z obawy spotkania swoich dawnych znajomych*“. Czyli mówiąc innemi słowy, nie miał odwagi spojrzeć śmiało w oczy towarzyszom dawnych swoich przekonań. A przecież na wstępie upewniano nas że to człowiek o niezwykłej duszy, że miał w sobie coś co odsuwało ludzi od niego i robiło ich nieśmiałymi, łatwiej było szanować go niż kochać. Widocznie autor niemiłosiernie zawiódł się na swoim bohaterze. Jakaż czarna niewdzięczność: autor puścił go w świat z tak piękną rekomendacyą, a on... Przykrość doznaną za tak znaczny zawód dzielimy z panem Bałuckim. Cóżeś uczynił swemu duchowemu ojcu panie Antoni Kowalski! Wypieścił cię na łonie duszy swojej, a ty okazałeś się mazgajem. Tak, tak nie jesteś blagierem nawet, ale niestety pozującym na wielkość mazgajem tylko. Już nie chodzi nam teraz o twoję zmienność przekonań. Bo czy kto ośmieli się nazwać Adolfa Thiers'a mazgajem, dlatego, że zmienił swoje przekonania polityczne, czy kto ośmieli się dla tych samych przyczyn nazwać mazgajem Wiktora Hugo, albo Franciszka Guizot'a? Ale ciebie Antoni Kowalski żałujemy, żeś przyszedł na ten świat, żeś się borykał z losem, żeś popogięty w pałąk na śmierć się zapił jak pierwszy lepszy chłystek. Ale może to i wina rodziciela pańskiego, który prawdopodobnie nie wiedział na co cię wykierować, na szewca czy na golibrodę; widno nie dobrze poznał on ciebie—swoje dziecię; czy nie lepiejby postąpił oszczędzając ci przykrości, jakie ci sprawiło przyjście na ten świat? Ale co począć—toć to jeszcze pesymistycznej pamięci Schopenhauer mawiał, że gdyby nie popęd naturalny, czybyśmy powodowani litością, nie oszczędzali przyszłym potomkom naszym nieszczęścia, które się staje ich udziałem, gdy przychodzą na ten świat boży?

Powieść *Z obozu do obozu* posiada wiele subtelnych przymiotów, ale i grubsze wady także. Jest tam kilka doskonale nakreślonych postaci jako: hrabia Medard, syn jego Artur, typ birbanta, czerwony demokrata Urban, Władysław i Kornelka. Baronowa dość jest pospolitą. Liczne przymioty nie zdołają okupić wad, wynikłych z pośpiechu i lekceważenia rozległego tematu i niezbyt jasnego pojęcia o spożytkowaniu tendencyjności przez sztukę.

Z.

APTECZKA DOMOWA

opracował:

St, W, Łukowski,

II.

Ocet.

Lecznicze zastosowanie octu polega na jego własności—chłodzenia, utleniania, ściągania tkanek oraz tamowania krwotoków. Zdolność chłodzenia, czyni ocet jednym z najdzielniejszych środków w chorobach, gdzie idzie o zmniejszenie zbyt wysokiej temperatury ciała. Kilkoma łyżkami octu owocowego, dodanemi do napoju, można ugasić największe gorączkowe pragnienie. Czysty ocet, lub nieco pomięszany z wodą, wraca przytomność osobom odurzonym mocnemi trunkami lub szkodliwemi gazami (tlenek węgla, kwas węglany), utleniając i rozrzedzając nagromadzoną w mózgu krew żylną. Dłuższe używanie octu, wywiera w skutek rozrzedzającej krew własności jego, bardzo szkodliwy wpływ na zdrowie. Mimo to, znajdują się jednak osoby, zwłaszcza pomiędzy płcią piękną, które dla nadania swej twarzy, tyle, podług ich mniemania, romantycznej i pociągającej bladości, nie wahają się wypijać dużo nie raz octu! Następstwem podobnie nierozsądnego postępowania, bywa zazwyczaj zmniejszenie ilości krwi, czyli *niedokrewność* ze wszystkiemi jej objawami: wychudnieniem, osłabionem trawieniem, kurczami żołądka, rakiem żołądka i wieloma innemi dolegliwościami. Szkodliwy wpływ octu, zawsze w końcu odbija się i na płucach. Dowodem te-

---

innemi przepis, aby koń ślepy lub kulawy nie był używanym do szybkiej jazdy, w razie przekroczenia w tej mierze, prawo wymierzać będzie znaczne kary pieniężne. Za przeciążenie ładunkiem koni pociągowych, ustanowioną ma być kara podwójna, a w razie trzechkrotnego dostrzeżenia nadużycia, posiadacz konia utraci go na zawsze.

Wartoby ten przepis zastosować do dorożkarzy warszawskich, posuwających srogość wywieraną nad zwierzętami do ostatecznych granic, i to z pewnem dzikiem upodobaniem. Już to u nas wogóle, obchodzenie się ze zwierzętami jest barbarzyńskiem do najwyższego stopnia. Dla zysku, handlarze głodzą woły aby mniej ważyły—litość bierze, patrzeć na bydło pędzone na targ Pragski. Nie dość na tem, nowa, zbrodnicza spekulacya, wkradać się do nas zaczyna. W guberni Siedleckiej dwaj starozakonni zawiązali z sobą spółkę, której zadaniem było truć arszenikiem bydło z folwarków i wsi okolicznych, i schorzałe za bezcen nabywać. Mięso na sprzedaż wysyłali do Warszawy. Z innych stron podobne wieści przychodzą—*Tydzień* donosi, że w Piasczycach wydarzyło się kilka wypadków otrucia bydła, któremu złoczyńcy zadawali glejtę ołowianą, zagniecioną z chlebem. Są to fakty groźne dla zdrowia publicznego. W bieżącym miesiącu mieliśmy też kilka wypadków pokąsania osób przez psy wściekłe — dla zaradzenia temu p. L., magister weterynaryi, proponuje w *Kuryerze Warszawskim*, zakładać tym zwierzętom kagańce druciane w miejsce dotychczasowych rzemiennych. Propozycya to wielce pocieszna—Doświadczenia p. Boutet odbyte przed kilku laty we Francyi, najwidoezniej okazały, że do wywołania wścieklizny, *przyczyniał się najwięcej kaganiec*. Dziś już w kraju Franków, nie znajdziesz czytelniku jednego psa, w ten sposób torturowanego — u nas ten pomysł niepraktyczny dotąd się utrzymuje, a co gorsza, znajduje propagatorów—i to w magistrach weterynaryi. Wypadałoby porzucić kagańce, i nie wątpimy, że przyjdzie do tego z czasem, gdy specyaliści zwrócą na to uwagę władzy, tak zresztą u nas dbałej o stan sanitarny miasta, i o udogodnienia dla jego mieszkańców.—Oto słychać już głośno o projekcie budowy kolei konnej od Leszna lub ulicy Elektoralnej ku Belwederowi obok tego kursować mają wagony konne pasażerskie z głównych punktów miasta—do rogatek powązkowskich, wolskich i petersburgskich. Projekt już podobno został opracowany w biurach właściwej władzy, a gdy uzyska zatwierdzenie, licytacya na to przedsiębiorstwo będzie ogłoszoną. Z upragnieniem oczekujemy chwili urzeczywistnienia się w naszem mieście szerszej komunikacyi, która wyświadczy Warszawianom usługę niepospolitego znaczenia. Mówiąc o komunikacyach, nie mogę pominąć nowo-otworzonego kantoru przewozowego, pod firmą Wróblewski i Spółka, przy ulicy Trębackiej Nr 11. Instytucya to wielce dla nas pożądana, kantor odstawiać będzie wszelkie towary do magazynów dróg żelaznych, ekspedyować je i odbierać z tychże magazynów, a przytem rozwozić po mieście towary przybyłe kolejami do miejsc wskazanych w obrębie Warszawy i Pragi. Modra Wisła postarała się niemniej o udogodnienie nam życia, w porze prażących nas ogniem promieni słonecznych. Od 20 maja stanęły od strony Pragi galary dla amatorów kąpieli, których już dziś garść

go, są robotnicy z fabryk octu: przy ciągłem wdychaniu wyziewów octu, wkrótce zaczynają oni chudnąć; więdnąć i umierają po większej części na suchoty.

Wogóle, wyznać należy, że *wewnętrzne* użycie octu, nie ma zbyt wielkiego znaczenia w medycynie. Tym większą przynosi on za to korzyść przy zastosowaniu *zewnętrznem*, w następujących wypadkach:

1. *W razie nagłego osłabienia*, jak: *zemdlenie, śmierć pozorna, maciennictwo* (hysteria), oraz *przy udarach mózgowych* (apoplexia), spowodowanych wdychaniem gazów trujących;—we wszystkich tych wypadkach, ocet działa jako *środek nozdrzowy ocucający*, wskutek zawartości tlenu. Przyjemna jego, lotna woń, drażni rozgałęzienie nerwu węchowego na błonie śluzowej nosa, i tym sposobem, szybko udziela się mózgowi. W razach wyjątkowych, można użyć octu pospolitego, jaki prawie w każdym znajduje się domu. Im bardziej ocet jest czysty i mocny, tem prędzej przyprowadza do przytomności. Za taki uważać należy dobry *ocet winny* (estragonowy),—silniejszym zaś jeszcze od niego, jest *kwas octowy*, sprzedawany w każdej aptece. Jednocześnie z wdychaniem octu, potrzeba skropić nim czoło i skroń.

2. *W chorobach z podwyższoną temperaturą i suchością skóry*, jak np. *płonica* (scarlatina) i *dur* (typhus),—obmywania octem, najprzód ciepłe a potem zimne, powtarzane kilkakrotnie w ciągu dnia, uśmierzają gorączkę i często wywołują zbawienne poty. Po obmyciu, trzeba natychmiast wytrzeć skórę suchym ręcznikiem.

3. Przy wszelakich *krwotokach*, ocet służy za najpierwszy i najlepszy środek. Sposób użycia jego bywa wtedy zależny od rodzaju wypadku. Przy mocnem *pluciu krwią*, należy przyłożyć płótno maczane w zimnym occie do piersi,—przy *wymiotach krwawych*, kładzie się takież same płótno na żołądek i brzuch. Przy *rozerwaniu naczyń krwionośnych*, oprócz ciągłego naciskania, (a lepiej jeszcze związania miejsca zranionego), używa się także z wielką korzyścią zimnych obwiąń octowych. Przy *krwotoku z ust, dziąseł i nosa*, trzeba usta płukać octem, w nos zaś wciągać takowy. Dobrze również w tym razie, wprowadzić głębiej w nos, pręcik okręcony watą namaczaną w occie. Przy krwotokach z innych jam ciała, szprycowanie octem liczy się do najlepszych i najskuteczniejszych środków, lecz powinna je wykonywać doświadczona ręka.

4. O ile zimne kompresy octowe pożyteczne są przy ranach, o tyleż *ciepłe*—przy *stłuczeniach, nabrzmiałościach krwawych* i *ukłuciu przez owady*. Kompres z czystego octu lub z dodatkiem tartego chleba razowego, stanowi najlepszy środek domowy *przeciw bólowi głowy*.

5. Ocet w formie lewatywy, przedstawia dobry środek *przeczyszczający* (np. w zapaleniach, udarach) oraz *usuwa glisty* znajdujące się głównie u dzieci, w odbytnicy. W tym razie ocet mięsza się do połowy z wodą.

6. W lekkich *zapaleniach krtani*, jako też przy *gniciu dziąseł*, ocet w postaci płukania, sam, lub z miodem i szałwią, bywa bardzo pożyteczny.

7. Najczęściej używa się octu do *kadzenia* podczas chorób zaraźliwych (jak dur, ospa, cholera), dla oczyszczenia powietrza w pokoju, gdzie leży chory, i dla zapobieżenia zarazie. Kadzenia te jednak nie osiągają swego celu, gdyż ocet nie jest w stanie zniszczyć szkodliwych wyziewów i zobojętnić zaraźliwych pierwiastków choroby, jak to dawniej mniemano. W czasach panowania przesądów lekarskich, przypisywano pomieniony skutek aromatycznemu octowi, i im różnorodniejsze były zioła z których go przygotowywano, tem pewniejszą miała być jego siła ochronna. Powiadają, że gdy dżuma wynikła w Marsylii, (na początku zeszłego stulecia), czterech złodziei uwijało się troskliwie około zadżumionych trupów i chorych osób, żeby pod pozorem udzielenia pomocy, zabrać im, co się uda; przy tych zaś wycieczkach, używali oni octu aromatycznego dla zabezpieczenia się od zarazy. Nie wiadomo, czy występna ta odwaga, ukaraną została zadżumieniem, lub szubienicą, ale w każdym razie, na pamiątkę rzeczonego wypadku, ocet aromatyczny otrzymał od tej pory nazwę *octu czterech złodziei* (Vinaigre de quatre voleurs).

Tak więc, ocet nie może zniszczyć niebezpiecznych gazów i chorobowych zarazków, czyli skutecznie oczyścić powietrza, lecz jest on w stanie usunąć niemiłą *woń*, co również stanowi dla nas pewną korzyść. W ostatnim jednak razie, potrzebne jest umiejętne z nim postępowanie.

Polewanie octem ogrzanych kamieni lub rozżarzonych węgli, bywa niewłaściwe, gdyż przy tem, szybko on się rozkłada i wydziela gaz bardzo szkodliwy—tlenek węgla. Najlepiej, skrapiać podłogę ciepłym octem, lub postawiwszy go w płaskiem naczyniu blaszanem nad lampką spirytusową—pozwolić mu ulatniać się potrochu.

Wreszcie, nie od rzeczy tu będzie wspomnieć, że ocet jak o tem przekonały naukowe badania w ostatnich czasach, (dokonane przez Gérard'a), jest wybornym środkiem *dla odjęcia grzybom ich jadowitości*. W tym celu, jaśli mianowicie chcemy użyć grzyby, o których własnościach nastręcza się powątpiewanie, należy je najprzód pokrajać w plasterki i moczyć przez godzinę w wodzie, do której na 1 kwartę dodaje się 3—5 łyżek dobrego octu winnego; później płukać też grzyby w gorącej wodzie i gotuje lub smaży, stosownie do żądania.

(*D. c. n.*)

O WIETRZE.

I.

Uwagi ogólne.—Wpływ ogrzania i oziębienia powietrza.—Słońce źródłem wiatrów.—Pas ciszy.—Prądy równikowe i biegunowe.

Jak objawem życia człowieka jest oddech jego, tak świadectwem życia ziemi są olbrzymie jej oddechy, owe prądy powietrza, które przesyłają sobie różne okolice globu.

Wygasły towarzysz ziemi, blady księżyc, nie zna wiatru; powierzchni jego nie oblewa ruchliwy ocean atmosferyczny, na jego górach i nizinach osiadła cisza, cały ten świat śmierć w swą władzę objęła.

Dla istnienia życia na ziemi niezbędnem jest powietrze; ale tylko ruch jego może to życie utzymać i rozlać na rozległych przestrzeniach ziemi. Ludzie i zwierzęta uległyby rychło uduszeniu, otoczeni atmosferą kwasu węglanego, który z płuc swoich wyziewają; rośliny powiędłyby szybko, gdyby atmosfera zbytnio utleniona, jaką w okół siebie tworzą, nie dostarczała im węgla niezbędnego dla tworzenia ich tkanek. Na szczęście, potężne rzeki powietrzne, obiegające całą ziemię, mięszają jednostajnie gazy, które ze sobą unoszą. W okolice umiarkowane, które człowiek zajął w przeważne swe posiadanie, sprowadzają tlen wyzioniety przez nieprzejrzane lasy strefy zwrotnikowej, a w owe lasy przenoszą węgiel, który był zabójczym dla człowieka.

Dla świata roślinnego znaczenie ruchów atmosferycznych bardziej jest jeszcze bezpośredniem. Nietylko przenoszą one w dalekie strony lekkie nasiona, które się przyjmują i rozwijają na jałowym gruncie, ale umożebniają wprost zapłodnienie roślin przenosząc pyłek kwiatowy na znamiona słupków, co zwłaszcza ma ważne znaczenie w roślinach rozdzielno-

---

spora. Zwykle sezon kąpielowy na Wiśle zamyka się z październikiem, są jednak tacy zwolennicy prysznica i wrażeń elektryzujących, że przeciągają tego rodzaju przyjemności do grudnia, a nawet do stycznia i lutego. Do używania tych rozkoszy, posługuje naturalnie w tym razie przerębel, i linka konieczna dla bezpieczeństwa. Dla takich amatorów galar Boguskiego jest corocznie przez całą prawie zimę otwarty, a właściciel wypisuje nazwiska swych klientów, w braku tablic marmurowych, na deszczułce kredą najzwyczajniejszą, przekazując do nieśmiertelności ich nazwiska. Nie zalecamy jednak naśladować tego przykładu—do tego potrzeba posiadać silne płuca, a przedewszystkiem być zahartowanym, przywykłym do podobnych ekskursyi w wodnych falach.

Przed tygodniem jeszcze gwarzono w mieście naszem cudzie—zjawisku nadprzyrodzonem. We wsi Aleksandrowej, w gminie Kampinosie w powiecie Sochaczewskim, postawiono w roku ubiegłym krzyż z wizerunkiem Męki Zbawiciela. — Owóż przed kilku tygodniami, włościanie dostrzegli w górnej części krzyża plamy krwawe, i naraz rozpoczęła się pielgrzymka do owego cudownego miejsca. Kunoszki ze Starego i Nowego Miasta, ba, i z za Żelaznej bramy, prawiły niestworzone banialuki, a broń Boże było okazać im powątpiewanie. W rezultacie wdała się w tę sprawę władza, która wydelegowała do Aleksandrowej, dwóch urzędników przybyłych na miejsce w towarzystwie proboszcza parafii.—Okazało się, że z drzewa sączyła się po prostu żywica koloru brunatnego, jaki jej nadawał garbnik zawarty w tkance drzewnej. Proboszcz przytem w krótkiej mowie do pobożnych, wyjaśnił im, że w zjawisku tem nie ma nic cudownego, wizerunek zaś odjął z górnej i przeniósł do dolnej części krzyża. Na duchowieństwie naszem spoczywa obowiązek, szerzenia między ludem zdrowych pojęć religijnych. Miliardy światów krążących w przestworze nieskończonym, są widomym i wspaniałym cudem bożym—są jawnem świadectwem wielkości Boga, która nie potrzebuje poszukiwać drewna dla uzmysłowienia sobie, gdy tak potężnie przejawia się w całej przyrodzie.

Cudowniejszem i użyteczniejszem nierównie, jest lekarstwo na straszliwą chorobę dziecinną *krup*, wykryte przez p. Muzykantowa, lekarza wojskowego. Tym środkiem leczniczym jest *Collodium cantharidale*, którego płynem powleka się szyję, a w razach większego niebezpieczeństwa i piersi, a to za pomocą chorągiewki od pióra gęsiego. Po zaschnięciu, co następuje w 5—10 minut, operacyą smarowania powtarza się raz jeszcze. W skutek tego, po upływie jednej lub dwóch godzin, zbiera się pęcherz, oddech zostaje ułatwionym i niebezpieczeństwo ustępuje, pęcherz pozostawia się do czasu wyzdrowienia dziecka, to jest przez trzy lub cztery dni. Poczem goi się ranę jak zwykłą wezykatoryą. W Tulczynie i Łucku wiele dzieci tym sposobem ocalił od nieuchronnej śmierci p. Muzykantow. Zdaje się nam, że wyświadczamy prawdziwą przysługę matkom, podając o tym medykamencie wiadomość.

Nie ma jak statystyka—cyfry jej nieugięte jak żelazo, wypowiadają prawdy nieraz wcale nie pocieszające. Powiada nam ona obecnie, że w roku ubiegłym liczono w Królestwie 1465

płciowych, w których kwiaty pręcikowe czyli męskie znajdują się na innych osobnikach, niż kwiaty słupkowe czyli żeńskie. W XV wieku palma daktylowa żeńska, rosnąca samotnie w Otranto, została zapłodnioną przez palmę daktylową męską, wznoszącą się w Brindisi, w odległości 60 kilometrów; pomyślny powiew wichru dostatecznym był do wywołania owocu w bezpłodnej dotąd palmie, a poeta neapolitański Jovianus Pontanus łacińskim rymem wyśpiewał dzieje tej miłości, której pośrednikiem było powietrze. Ale i starożytni dostrzegli już ten błogosławiony wpływ wiatru i dzięki jemu nauczyli się sztucznie zapładniać daktylowce, których owoc jest bodaj głównem pożywieniem narodów, żyjących na znacznej przestrzeni Azyi i Afryki.

Powietrze porywa całe roje drobnych zwierzątek i przenosi je o kilkaset lub kilka tysięcy wiorst, w okolice, gdzie one zgoła były nieznane. Owłada popiołem wyrzucanym przez kratery wulkanów i zasypuje nim dalekie wioski i miasta, których mieszkańcy nie słyszeli nigdy o wybuchach wulkanicznych. Na brzegach Nilu piasek przynoszony z pustyni umacnia i utrwala muł pozostawiony przez rzekę i tworzy ten grunt cudownej urodzajności, który widział pierwsze rozbudzenie się cywilizacyi ludzkiej; na inne znowu równiny, pozbawione wilgoci, tenże sam wiatr na nosi tumany piasku, które zasypują słabą roślinność i grunt ze szczętem wyjaławiają.

Zanim jeszcze człowiek miał świadomość o oddalonych lądach i morzach, doznawał potężnego ich wpływu za pośrednictwem niezmordowanych gońców powietrznych; przez nieustanną wymianę prądów atmosferycznych, powietrze rozgrzane okolic międzyzwrotnikowych przynosi ciepło swe okolicom dalszym, od których wiejące wiatry zimne łagodzą gwałtowny upał pierwszych; okolice gdzie zachodzi najdokładniejsze mięszanie się tych prądów powietrznych noszą nazwę umiarkowanych. Krążenie to atmosfery ujednostajnia klimaty, łagodzi sprzeczności, ustala harmonią płodów. Silniej niż parowozy i parostatki nasze, ruchy powietrza zbliżają odległe kraje ziemi.

Co większa, powietrze unosi wody morza i w postaci pary i chmur przenosi je po nad lądy. Gdyby powietrze było nieruchomem, lądy nie znałyby dobroczynnych wpływów deszczu; na jałowych ich głazach nędzny nawet porost rozwinąćby się nie mógł, żadna istota żywa nie stąpałaby po milczących pustyniach. Prawa rozkładu deszczów na ziemi są bezpośredniem następstwem praw rządzących ruchami oceanu atmosferycznego.

Każda cząstka powietrza jest obrazem bezustannego, nieskończonego ruchu, który łączy między sobą wszystkie twory ziemskie. Cząstka węgla wyzionięta w ostatnim oddechu umierającego starca odnajduje się w pysznej koronie stulistnej róży; cząstkę tlenu wysłaną przez liść zielony drzewa wiatr odnosi do płuc nowonarodowego dziecka. Śmierć i życie w nieprzerwanym łańcuchu mięszają się w olbrzymim ruchliwym oceanie, na dnie którego porusza się dumny pan przyrody, jedyny jej twór, który ją badać i rozumieć zdoła.

Każdy prąd powietrza, od lekkiego powiewu, który „jak do snu zda się kołysać falę jeziora,“ aż do uraganu co wyrywa drzewa i mieszkania ludzkie obala, nazywamy wiatrem. Nauka o wiatrach stanowi najważniejszy zapewne ustęp fizyki kuli ziemskiej. Znajomość tej nauki, sądzimy, nie jest do tyla jeszcze rozpowszechnioną, aby pomieszczenie w naszem piśmie niektórych jej ustępów mogło być uważanem za niestosowne.

Pierwsze pytanie jakie nas tu napotyka, odnosi się do przyczyn, które powodują powstawanie wiatrów; skąd biorą początek prądy powietrza i co je w ich drogach utrzymuje? Aby na pytanie to odpowiedzieć, użyjemy tej samej drogi, która nas powiodła do odszukania przyczyny powstawania deszczu [1]) wynajdziemy zjawisko wiatru na małą skalę, weźmiemy pod uwagę prądy powietrza wiejące w naszych mieszkaniach.

Nie potrzebujemy ich długo szukać: przypominamy sobie, że gdy w zimie otwieramy drzwi z ciepłego pokoju do zimnego lub do sieni, czujemy przeciąg zimnego powietrza w padający do pokoju ciepłego; przeciąg ten zapewne jest ruchem powietrza, jest wiatrem. Dodajmy tu jeszcze, że przeciąg ten jest podwójny; spodem wpływa powietrze zimne do pokoju, górą powietrze rozgrzane wyrywa się na zewnątrz. Aby się o tem przekonać, dosyć jest w drzwiach na pół przymkniętych umieścić zapaloną świecę: jeżeli świeca stoi na ziemi, płomień kieruje się do sieni, jeżeli ją umieścimy w górze płomień zwraca się ku pokojowi. Możemy już z tego wyprowadzić pierwszy wniosek, że zimne powietrze płynie dołem od miejsc zimniejszych ku cieplejszym, ciepłe zaś górą od miejsc cieplejszych ku zimniejszym.

Ale idźmy dalej; przyjrzyjmy się paleniu drzew w naszych ogniskach. Skoro drzewo płonie w piecu, powietrze w pobliżu pieca będące rozgrzewa się, w skutek tego rozszerza,— wszystkie bowiem ciała od ciepła się rozszerzają— staje się gatunkowo lżejszem i wznosi się w górę, podobnie jak balon, wypełniony gazem lżejszym od powietrza otaczającego, wypływa w górę. Takim sposobem powietrze wdziera się do pieca, rozgrzewa się i uchodzi kominem; natomiast powietrze zamknięte, pomimo najtroskliwszego zamknięcia drzwi i okien znajduje tysiączne szpary, aby się dostać do pokoju i zapełniać ciągle próżnię tam powstającą w skutek bezustannego uchodzenia powietrza. Toż samo ma miejsce i w płonącej lampie; koło płomienia ogrzewa się i uchodzi w górę szklanym kominkiem, otaczającym płomień; prąd ten wstępujący jest tak silnym, że unosi lekkie kawałki papieru i może zgasić trzymany nad lampą płomień świecy; natomiast powietrze zimne wciska się przez małą galeryjkę otaczającą płomień. Z tych przykładów wyciągamy zasadę, prawo fizyczne, że ilekroć powietrze w pewnem miejscu się ogrzewa, wznosi się w górę, a natomiast dla zastąpienia siebie wzywa powietrze zimne z miejsc sąsiednich.

Łatwo wnieść, że wszelkie oziębienie ma skutek przeciwny. Kiedy pokój nasz jest bardzo ciepły, a szyby zmarznięte, powietrze, które się ich dotyka, oziębia się, kurczy, staje się gatunkowo cięższem, osliźguje się koło nich i rozciąga się na podłodze. Natomiast powietrze ciepłe, unoszące się pod sufitem, dąży ku oknom dla zastąpienia w tej stronie ubytku powietrza, a przeciskając się na wskroś firanek, zostawia na nich ślad swego przejścia w postaci kurzu, który w niem był zawieszony, a dostawszy się ku oknom, przebiega też samą drogę, co warstwy poprzepnie.

Zbierzmy teraz podwójne te skutki ciepła i zimna; piec rozgrzany i zamknięty zbiera powietrze koło siebie i wyrzuca w górę pokoju, ale szyby je oziębiają, zniżają i ono po podłodze wraca do pieca. Dwie różne przyczyny wpływają na wywołonie i utrzymanie tego podwójnego prądu: jeden jest gorący, wzniesiony, oddala się od źródła ciepła; drugi zimny i czołgający się, do niego wciąż powraca.

Drobne te szczegóły bezpośrednio stosują się do atmosfery i tu olbrzymie prądy powietrzne są następstwem niejednostajnego ogrzewania różnych okolic ziemi. Bezpośrednia więc przyczyna powstawania wiatrów jest taż sama, co i tworzenia się deszczu, taż sama zresztą przyczyna, co jest źródłem wszelkiej działalności i wszelkiego życia na ziemi—słońce.

(*D. c. n.*

[1]) Ob. Nr. 24 i następ. „Ogniska domowego.“

---

pogorzeli, które zrządziły szkód na rubli srebrem 3,222,048,—że w Cesarstwie, a zwłaszcza w Litwie, straty poniesiono dwa i czterykroć większe niż u nas, że wreszcie ogółowa suma strat, doszła do kolosalnej cyfry rs. 58,897,888. Z tych rezultatów zresztą potwierdzonych przez liczne śledztwa, przychodzimy do wniosku, że głównemi sprawcami plagi pożarowej są podpalacze nie, zaś przypadek. W jakim celu działa ta potworna szajka ludzi, niszcząca bogactwo narodowe— nie wiem, i nie chcę wkraczać w pole domysłów, lecz obowiązkiem jest moim zwrócić uwagę właścicieli majątków ziemskich na fakt wykryty przez statystykę, i zalecić im jak największą ostrożność i dozór nad ich majętnościami, jeżeli chcą uniknąć smutnych następstw. W kraju naszym największe straty poniosła gubernia Radomska, w której w roku ubiegłym liczono 189 pożarów, a straty szacowano na 481,813 rubli. Najmniej pogorzeli było w gubernii Łomżyńskiej — uległo tam pożarom 101 miejscowości, a straty dochodziły sumy rs. 101,365. Nie porzucając cyfr o które potrąciłem, na pochwałę Warszawian powiedzieć muszę, że z chęcią pospieszyli w pomoc oddziałowi kuchen tanich. Jak wiadomo, ze sprawozdania tej instytucyi, w roku ubiegłym zamiast zysku okazał się niedobór, dochodzący 1,000 rubli. Obecnie niedobór ten w połowie już pokrytym został, gdyż czysty dochód z przedstawień scenicznych danych w Eldorado, Alhambrze i w Tivoli na rzecz tychże kuchen, przyniósł rs. 510 kop. 86.

P. Rapacki, autor Wita Stwosza, napisał nowy dramat: *Mikołaj Kopernik* i zamierza zapoznać z nim publiczność w niezwykły wcale sposób. W teatrze letnim ten utwór dramatyczny ma być odczytanym, a to przez artystów, którzy przyjmować będą udział w jego odegraniu. Kopernik jest podobno pracą niepospolitej wartości — znawcy stawiają go wyżej Stwosza. Chodźko, reżyser opery komicznej, pisze obecnie libretto w języku francuzkim, do jednoaktowej opery „*Le coq du village*“ (Bałamut wiejski), muzykę dorabia pan Kratzer. Niestrudzony Matejko, wykończył nowy obraz treści religijnej, wielkich rozmiarów: *Posłannictwo Najświętszej Panny*. Wypada mi zakończyć pogawędką z tobą czytelniku wspomnieniem nekrologicznem.—Maciej-Kazimierz Wołonczewski, biskup dyecezyi Żmujdzkiej, zwanej też Telszewską, starzec blisko osiemdziesięcioletni, zakończył życie.—Ś. p. Wołonczewski, syn prostego włościanina, wzniósł się własną pracą do wysokiej godności w kościele, a całem życiem dowiódł, jak zacnie pojmował swe obowiązki.— Był on gorliwym krzewicielem oświaty wśród ludu, zakładał szkółki i brał żywy udział w tem wszystkiem, co mogło podnieść stan kmiecy. Pod 25-letnim jego zarządem, dyecezya podniosła się znakomicie, dość powiedzieć, że dziś w niej trudno byłoby znaleść włościanina, nie umiejącego czytać i pisać— cześć mężom takiej zasługi.

Z ZAGRANICY.

I.

Biografia Dickensa.—Jego życie.—Odczyty autura Dombey.—Tydzień Szekspira.—Tydzień Wagnera. — Artystyczny zapał Niemców. — Odwrotna strona medalu.—Berlin i minione cuda.

Ukończono nareszcie biografiję najulubieńszego romansopisarza angielskiego Dickensa. Wyszło przedtem tomów cztery, a niezbyt dawno wydano tomów dwa. Obszerne to dzieło napisał przyjaciel Dickensa, John Forster. W książce tej znać rzeczywiście nie tylko biografa i krytyka, ale i przyjaciela. Wszystko co autor posiadał w listach, lub też wiedział ze wspomnień o Dickensie, nie omieszkał zamieścić w dziele swojem. Jest w tem dodatnia i ujemna strona. W książce Forstera brak wszelkiej kompozycyi i ekonomii literackiej. — W każdym, razie będzie ona nieocenionym materyałem dla przyszłego biografa. Książka ta opowiada nam dzieje bohatera, którego geniusz, charakter, losy i otoczenie tak były niezwyczajne, że każdy biorący biografią Dickensa do ręki, a ciekawy poznać tajniki natury ludzkiej, z trudnością od książki tej się oderwie.

Mało czyje życie było tak *pełnem* jak Dickensa. Z niezwykłą wytrwałością oddawał się on zarówno zmysłowemu używaniu, jak walkom umysłowym. Duch jego spożywał bezustannie nowy pokarm, aby takowy przerobić we wnętrzu swojem, a następnie wydać go w formie wdzięcznej i wyrazistej. Serce poety naprzemian przerzucało się z miłości do nienawiści, z litości do gniewu, do inspiracyi i pogardy. Doba miała dla Dickensa więcej jak 24 godzin a przestrzeń zaledwie, że istniała dla autora „Dombey.“ Życie w tym człowieku coraz jakby szybciej biło. W ostatnich piętnastu latach biegło ono w tak przyśpieszonem tempie, że zdawało się najwyraźniej, jakoby zdrowa i normalna cyrkulacya przeszła w gorączkę, i że gorączka ta tragicznie zakończyć się musi. Fantazya Dickensa coraz febryczniej pracowała, i coraz częściej przerzucał się poeta z jednej miejscowości w drugą, z jednej części świata w drugą, przechodził od środków podrażniających do narkotyku a w końcu coraz szybciej gonił za złotem, co raz bardziej oddalając się od siebie...

Już przy „Bleakhouse“ słyszał poeta jakiś szept hypokondryczny, który mu dowodził, że się przepracował, a przy pisywaniu romansów, redagowaniu czasopism i wielu innych zajęciach, zdawało mu się „jak gdyby głowa jego pęknąć miała, niby rozpalona bomba.“ Od Litte Dorrit“ (1856) nie napisał Dickens żadnego znaczniejszego romansu, a nawet i w tym znać już usposobienie naciągane i nerwowe. Wkrótce potem nastąpiła owa nieszczęsna kolej odczytów publicznych, które, bardzo szybko pochłonęły całą istotę Dickensa. Aby przekonaś się jak gorączkowem było życie pisarza tego, przeczytajmy następujący wyjątek jego listu.

„W piątek przybyliśmy ze Srersbury do Chester, poczem udaliśmy się do Liwerpolu. Następnie znów wróciliśmy do Chester, gdzie był odczyt; o 11 wieczorem po odczycie, opuściliśmy to miasto i wróciliśmy do Londynu; o godz. 5 rano przybyliśmy do Tavisockhausse; tego samego dnia o kwadrans po 10 opuściliśmy Tavisockhause i przybyliśmy na miejsce z którego list ten pisze.“ — to jest w Gadshill, gdzie Dickens najczęściej przebywał w późniejszych czasach, jeśli tylko nie przerzucał się z jednego banhofu na drugi. Czasami zdarzało się że dwa razy dziennie *czytał*, po półtory godziny wśród najsilniejszej nerwowej podniety. Wszędzie przyjmowano go świetnie, świetniej jak wielkich artystów, mężów stanu lub bohaterów. Nieznano silniejszej i gorętszej popularności podówczas nad popularność jaką cieszył się Dickens, a z którą porównać by można tylko chyba rozgłos Garibaldego. Dodać bowiem należy, że siła popularności wśród anglo-saksonskiej rasy mocniejszą jest, mimo okrzyczanego chłodu temperamentów północnych, od przysłowiowej zapalności południowców.

Dickens w krótce zauważył że go siły bezwarunkowo opadają, często czuł się nie zdolnym do wejścia na salę odczytową, czasami musiano go zanosić aż do progu sali, gdzie znów widok publiczności elektryzował go. „Widok publiczności porywa mnie, powiada Dickens, a po kwandransie zapominam o wszystkiem wyjąwszy o publiczności tej i o książce.“ Łatwo sobie wyobrazić wyczerpanie, które następowało powysileniach mówcy-aktora, przejmującego się na wskroś rzeczą odczytywaną, śmiejącego się wraz ze słuchaczami swemi, płaczącego z dziećmi swojej fantazyi, wpadającego w gniew, kochającego, nienawidzącego!

W ostatnich czasach nic nie jadał wyjąwszy buljonu, xeresu, szampańskiego wina i Sherny-Cobbles, jest to amerykańska mieszanina różnych spirytualii. Wszystko to przyspieszyło zgon Dickensa.

Przejdźmy do żywych.

Wiadomo wam jak religijnem prawie poszanowaniem przejęci są Niemcy dla sztuki. Mimo rozpanoszonej ofenbachjady, mimo powodzi fars i bluetek rozweselających publiczność niemiecką — bożyszcze sztuki budzą cześć, a utworom ich stawiają niemcy ołtarze uwielbienia. Do takich bożyszczy należy Szekspir. Zeszłego miesiąca ukończył się w Burgu wiedeńskim tak zwany „szekspirowski tydzień.“ Rozpoczęto Riszardem II, odegrano wszystkich Henryków aż do Ryszarda III włącznie. Chodziło tu o przedstawienie królewskich dramatów Szekspira. Razem tedy odegrano 35 aktów, a odegrano je z całą bojową pompą i królewskim majestatem.

Pojmujecie, ile w takim *tygodniu* poważny widz zyskuje, mogąc jednem spojrzeniem objąć szeroki horyzont dziejowy narodu i jego władców od (1398—1585). A było to stulecie niezmiernie bogate w wypadki, którym Szekspir nadał kształty potężnej formy artystycznej. Wielkie te i wściekłe turnieje przedstawiają się żywo oku naszemu w dziejowym pochodzie—wśród potoku krwi szlachetnej. Z diamentów pokrwawionych koron, spadają błyskawice artystycznego zachwytu w serca przejętych słuchaczy. A Ryszard II i mądry uzurpator Bolinbroke stawają naprzeciw siebie zażarcie zaglądając sobie w oczy; w halli wertminsterskiej, książe Henryk podnosi koronę z aksamitnej poduszki śmiertelnego łoża ojca swego i nakłada ją na własną głowę, a choćby mu oporem stanęły wszystkie ziemi moce—nie cofnie się. Za Henryka VI z pomiędzy białych i czerwonych Róż Lankastrów i Yorków wyłażą krwawe żmije dynastycznej wojny i syczą przeciw koronie, która przez chwilę połyskuje na głowie rozpustnego Edwarda VI. Nareszcie Ryszard III, staje na uboczu, aby podjąć diadem królewski, aby złotem jego, dodać blasku potwornem swemu tułupowi. Nakoniec Stanley w bitwie pod Rosworth zrywa zagrabione dotychczas klejnoty królewskie z martwych skroni zabitego Ryszarda i koronuje niemi czoło Riszmonda dzielnego. Szekspir pisząc najprzód trylogją Yorków a następnie lankastrowskie dramata „cofał się chronologicznie, ale artystycznie postępował.“ Mimo ubóstwa materyału i rozszepionej akcyi, galerya lankastrowskich postaci jest bardziej zajmującą. Fizyonomie tych ostatnich są więcej rozmaite i silniej indywidualne, a osnowa materyi okazuje się tu mimo ograniczonej akcyi bogatszą i barwniejszą. Począwszy od Henryka VI, nad którym unosi się Ryszard III niby potężna finalna scena, akcya bogatszą jest w wypadki, brzemię jej potężniejsze—lecz charaktery, mimo swej siły politycznej i stronniczych namiętności, jednostajniejszemi się okazują.

Kto zna teatralny personał Burgu wiedeńskiego, łatwo sobie wyobrazić może z jak poważnym przejęciem przystąpili aktorowie do dzieła swego. Wystawę zastosowano do niezwykłego zadania, a reżyserya wystawieniem owego cyklu dramatów stworzyła epokę w dziejach teatru wiedeńskiego.

Drugim niezwykłym dowodem religijnego zapału niemców dla sztuki, jest „tydzień Wagnera“ który nastąpił tuż po „tygodniu Szekspira,“ również w Wiedniu.

Oprócz znanych Meistersingerow dawano fragmenty ze „Zmroku Bogów,“ odegraniu których dyrygował sam kompozytor. W kompozycyi tej występuje Wagner ze wszystkiemi właściwościami swego niezwykłego talentu. Ryszard Wagner, mimo indywidualnej swej oryginalności posiada niezwykłą siłę obiektywną. Siła ta objawia się zarówno w Meistersingerach, w Tristanie jak i w Nibelungach. W każdym z tych muzycznych dramatów widnieje tak mocne i głębokie przejęcie się kompozytora, że przypuścić by można, jakoby kompozytor napisał tę jedną tylko operę, jak gdyby wszystkie siły swoje wyprodukował dla tego, wyłącznie utworu. Podobnie głębokie wyczerpywanie się dla każdego z utworów osobno, podobnie wewnętrzne przejęcie się duchowym materyałem spotykamy chyba tylko w Bethovenie i w Bachu. Niemamy bynajmniej zamiaru rozpisywać się o właściwościach liry Wagnerowskiej, chodziło nam głównie o zaznaczenie dwóch owych faktów, tygodnia Szekspira i tygodnia Wagnera, jako charakteryzujących artystyczne usposobienie germańskiego narodu,

Nie poprzestaniemy jednak na jednej stronie medalu i przyjrzymy się odwrotnej.

W ostatnim zeszycie *Revue de France* odczytaliśmy wyborne studyum Victora Tissot. Autor kreśli tam różne objawy życia w Niemczech. Przedewszystkiem mamy tu do czynienia z Berlinem, który stał się głównem ogniskiem nie tylko politycznego życia, ale zepsucia i zbytku Niemiec.

Pięciomiliardowa suma, która wpadła do hełmu Bismarka zawróciła spokój wszystkim głowom niemieckim. Poczęto w Berlinie wierzyć we wskrzeszenie czasów mitologicznych, wyobrażano sobie, że Sprea niby lidyjski Paktol wyrzucać będzie z rzecznego swego łona blaszki złote i że potrzeba będzie tylko schylić się, aby zostać Krezusem. Halucynacye podobne trwały rok jeden. Wymyślono tysiące przedsiębierstw, różne stowarzyszenia powstawały jak grzyby po deszczu i puszczano wszystko na akcye: jatki, piwiarnie, sklepy korzenne, ulice kanały, drogi bite; domy sprzedawały się na giełdzie, a w przeciągu dwóch godzin pięć lub sześć razy zmieniały właścicieli. W ciągu ośmiu miesięcy ceny nieruchomości zdwoiły się.

Domy pięciopiętrowe sprzedawano za milion. Mieszkania były przedmiotem spekulacyi. Pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt osób targowało nieraz nędzny lokal. R. 1872 liczono do 60 mieszkańców na jeden dom, czyli że 10 osób wypadało na jeden pokój. (!) Mularze robili majątki, pracowali po 10 godzin dziennie, pili szampana w kufłach od bawarskiego piwa, z rusztowań swoich zajeżdżali dorożkami do restauracyi. Zwożący cegły i wapno zarabiali

dziennie pięć talarów. Młodzi kantorowicze, pozbawieni obecnie zajęcia i butów... paradowali wówczas w białych rękawiczkach w pierwszopiętrowych lożach, i opłacali zbytki włoskich tancerek.

Pieniądze puszczono w ruch, wydobyto je ze wszystkich możliwych kryjówek, rzucano je na spotkanie francuzkiego złota, z którem przez zetknięcie winny się były szalenie użyznić i wydać cudowne rezultaty, marzono o 50, 60 i 80% od kapitału. Gdy zdala nadbiegały wagony przepełnione złotem Banku Francyi, ziemia drżała i rozwierała się jak w bajce przed czarodziejskim gościem. Ze złotej tej otchłani wyłaniały się piwiarnie podobne do pałaców, restauracye okazalsze od kościołów katedralnych, zaczarowane ogrody, gdzie wonie kwiatów i dźwięki muzyki mieszały się zimą w atmosferze ciepłej i rozkosznej obszernych trebhauzów.

Ludowi potrzeba było rozrywki i przyjemności różnych, temu ludowi, który wołał jak niegdyś Rzym po zwycięzkich podbojach: *panem et circenses*. Zbudowano tak zwaną *Keisergallerie* o ekscentrycznych złoceniach; wzniesiono wielki zakład *Flora* — jedyny w świecie—w pobliżu Szarlotenburga. Są tam jadalnie, gdzie pomieścić się może tysiące osób i sala balowa wychodząca na cieplarnię pełną palm, woniejących drzew i róż ponętnych... Stowarzyszenia akcyjne wydzierały sobie wzajemnie zamki feudalne okolic Berlina, płacąc za nie miljony, aby je przeistoczyć na letnie piwiarnie, ne teatra odsłonięte, na sztuczne pagórki i mleczarnie szwajcarskie.

Wszystkie te jednak wizye *z tysiąca i jednej nocy* trwały tylko rok jeden. Świątnice wdzięków i rozkoszy—zbankrutowały a komornicy pokonfiskowali kołczany Kupidyna.

Z.

KRAWIEC-REFORMATOR

EPOPEA PROZĄ

przez

TEOFILA TARCZĘ.

(Dokończenie).

PIEŚŃ V.

Deklaracya i z niej desperacya,

czyli

Tragiczne zdarzenie z frakiem, a oraz i jego skutki.

Poszedł—stanął—zrobił efekt—i klęknął... Lecz Muzo! ty któraś na podniebnych wyżynach bólami ludzkich nieszczęść rozsmucona, łzami tęsknoty do ideałów rozpłakana a patrząca się na nasz padół, podawała stamtąd pióro Sofoklesowi, aby ten tragedye tego tu życia opisywał—któraś innym razem, wesoła szczęściem i rozrumieniona jak zorza, spływała po promieniach z niebiosów do nas, aby rozczulać natchnieniami, piersi takich rozkosznych poetów jak Ariost—która groźna i nieubłagana w mocy swej zarazem, każesz zawsze pieśniarzom sługami być *prawdy* i prawdę tę tylko, samę prawdę opisywać ich zmuszasz, choćby to prawda była nawet... *nieprzyzwoitą*.

Muzo! wskaż mi, jakim stylem, jakiemi peryodami i skandówką, mam opisać to co zaszło, w chwili, gdy pan Alfred klęknął już przed panną Anielą?

Czytelnik przypomina sobie zapewne, iż, opisując arcydzieło naszego krawca, wspomnieliśmy o tem, iż przyrząd cały z drucików, który stanowił kunsztersztyk tegoż, mógł być w ruch wprawiany za pociągnięciem dopiero tasiemki od wieszania, umieszczonej jak zwykle pod kołnierzem, wewnątrz—że zapomocą tego pociągnięcia, dwie poły frakowe unosiły się nagle w górę, układały następnie razem z rękawami na plecach, i że tym dopiero sposobem suknia układała się w formę, nadającą jej słuszną nazwę *voyage-fraka*. Otóż to przypomniawszy, powiemy teraz dalej, iż pan majster, postanowiwszy oddać dzieło swoje panu Alfredowi, bez żadnych wstępnych objaśnień, dla wiadomego celu, zapomniał o ewentualności, mogącej się zdarzyć, mianowicie, że tasiemka podczas przypinania szpilką krawatu do kołnierzyka, może zostać niechcący tąż szpilką przymocowana także do szyi, i wówczas.... Nie przewidział, że śmiertelnik co arcydzieło jego włoży na siebie, może się znaleść w potrzebie gwałtownego uklęknięcia przed panną—że wówczas śmiertelnik tenże, w miłosnym szale swoim, zgięty we dwoje i przechylony, może tak mocno szyją tasiemkę ową pociągnąć, iż ta....

To wszystko jednakże stało się z panem Alfredem.

— Pani! rzekł, gdy już klęknął przed panną Anielą — oddawna już mam zamiar *zrefero*... to jest złożyć przysięgę przed twem obliczem, iż nikogo w życiu nie kochałem więcej od ciebie!... Pani! że tę przysięgę dziś dopiero u stóp twoich składam, przyczyną tego straszna twoja obojętność, okrucieństwo twoje że tak powiem, z jakiem obchodzisz się ze mną. Zrzuć te lody z serca swojego pani! pozwól mieć nadzieję, iż kiedyś dasz się ubłagać, aby mnie na zawsze już uszczęśliwić. O pani! nie wyrywaj tej rączki z rąk moich....

Pani, że wytrzymać już dłużej nie mogę, dowodem tego....

I w tej chwili pan Alfred przechylił się bardziej jeszcze ku rączce panny Anieli, którą ta trzymała na kolanach.

Nagle....

Nie—tego opisywać nie mogę.

Z za ramion pana Alfreda, po nad niemi, aż pod wierzch głowy, wysterczyły, niby dwa ośle uszy, dwa końce poły od fraka.... Jednocześnie pan Alfred zaczął z najdziwaczniejszym giestem wykręcać i wiercić obiema rękami, jak gdyby się mocował z kimś, co mu je krępował z tyłu....

— Co to jest? zawołał, zrywając się z miejsca.

Jak na złość w tejże chwili weszła jeszcze pani Łojowska.

— Ach!—och!—aj!—Boże!—co to? były krzyki dobywające się jednocześnie z piersi to córki, to matki. Gdy pan Alfred się odwrócił, córka krzyczała, patrząc na niego z tyłu—matka krzyczała, patrząc z przodu. Jakże musiał z obu stron wyglądać!

Fatalne położenie!... Chce mi się złamać o stół pióro....

A pan Anastazy-Wojciech-Sylweryusz trzech imion Kortkowski, zamknięty tymczasem w ciszy swojej pracowni, na Starem-Mieście, marzył o posągu, co mu mają wystawić tuż w rynku, albo przed domkiem gdzie się urodził... tam... w pewnem miasteczku, pewnej gubernii, pewnym powiecie naszego kraju.

Posąg miał być z żelaza lub z bronzu—piedestał jego miał się wznosić na sześć stóp w górę—na piedestale, ubrana w tużuro-szlafrok i kurtko-kamizelkę, miała stać tryumfalnie rozparta statua jego, ukazując prawą ręką zdumionemu światu... frak cudowny, i natchnionemi oczyma patrząc się... w jego rękawy!

. . . .

Boże! cóż za fatum nad poetą, co został krawcem!....

Chce mi się złamać pióro....

Nie będę też opowiadał, jako pani Łojowska, porwawszy w dzikim gniewie córkę swoję za ręce, wypchnęła ją prawie do drugiego pokoju; jak sama stanąwszy w progu i mierząc okropnem okiem pana Alfreda, zajętego przyprowadzeniem do porządku swoich sukni a nie mogącego nawet wytłómaczyć sobie, co się z nim dzieje—krzyknęła głosem, który się rozległ po ulicy:

— Za cóż to pan dom mój obierasz sobie za miejsce do podobnych skandali!....

I jako pan Alfred wybiegł prawie z jej domu....

Nie będę tego opowiadał. Łamię stanowczo pióro.

.....Tak jest. Lecz mamże czytelnika zostawić w pół drogi, jakby na gościńcu, nie powiedziawszy mu nawet, co się stało z panem Kortkowskim?

Więc.... Muzo! któraś do opisu scen smutnych, tyle mocy i grozy Wiktorowi Hugo użyczyła—któraś dała tyle talentu Szekspirowi, aby ten rozpacz Lira i śmierć jego następnie, w pełnym tragizmu dramacie swoim, opiał—udziel mi jeszcze rezygnacyi trochę i pozwól wygłosić co następuje:

Pan Wojciech-Anastazy, czyli raczej Anastazy-Wojciech, (bo już i z nieprzytomności kolej imion bohatera swojego straciłem), Sylweryusz trzech imion Kortkowski, otrzymał pozew nazajutrz, zaraz po opisanej powyżej scenie, wzywający go do Sądu najenergiczniejszem wezwaniem, w celu, aby się wytłomaczył:

1-o Dlaczego pozwolił sobie nadużyć zaufania pana Asesora Sądu Poprawczego, Alfreda Gromigrackiego, uszywszy mu w miejsce zwyczajnego fraka, *nadzwyczajny* jakiś (tak stało w pozwie!) frak, z *dyabelską* jakąś maszyną i *dyabelskim przyrządem*, którego jeszcze na świecie nikt nigdy nie widział, a obrażający zarazem — *przyzwoitość publiczną?*

2-o Jaki cel miał w użyciu podobnego podstępu?

3-o Czemu sobie kazał, za *dyabelską* taką suknię zapłacić jakby za każdą inną *poczciwą?*

I stało dalej:

Aby nadużycie takie zaufania publicznego, zamanifestowane niecnem podejściem, i zdefliktowane gorzej jeszcze wzięciem sutej zapłaty za rzecz przynoszącą szkodę, (tak stało w pozwie znowu!) było poczytane oskarżonemu za czyn równający się *oszustwu*, jeśli Sąd gorszych jeszcze jakich intencyi, w postępku delikwenta, nie wykryje!

Nareszcie:

Aby z tego powodu, oskarżony, skazany na koszta sprawy i koszta strat wszystkich, które *powód* poniósł przez niego—był pozbawiony przedewszystkiem prawa na praktykowanie dalsze dotychczasowego swojego rzemiosła.... etc... etc... bo stały tam jeszcze inne okropności, których już nawet i powtarzać się boję—a wszystkich się domagał, prawie dosłownie, w sposób wymieniony przez nas powyżej, *powód* niemający litości... pan Alfred Gromigracki!

* * *

Po otrzymaniu takiego papieru, który wszystkie na raz nadzieje jego w niwecz obracał, panu Anastazemu-Wojciechowi-Sylweryuszowi trzech imion Kortkowskiemu, zrobiło się najpierw tak niedobrze, jak temu coby połknął nóż lub widelec i parę set jeszcze igieł w dodatku.

Szum poczuł w uszach—zakręciło mu się w głowie—padł nieprzytomny.

Gdy przyszedł do siebie, pierwszą myślą jego było, pójść na Zjazd zaraz i rzucić się z żelaznego mostu, w Wisłę. Rzucić mówię, uderzywszy sięprzedtem naturalnie dobrze złożoną pięścią, w mózg, za to, że:

1-o Mając wyraźne powołanie do *poezyi*, pozwolił losowi zrobić się—krawcem, i

2-o że był tyle głupim, iż chciał koniecznie ludziom robić dobrze, nie spytawszy się pierwej, czy ci życzą sobie tego.... od niego!

Chciał się rzucić, powiadamy... lecz się nie rzucił.

— Dzieci biedne! dzieci! pomyślał i — został.

Lecz zachorował wkrótce obłożnie, i nie stawiwszy się przed Sądem, przed który go wzywał pan Alfred Gromigracki—stawił się natomiast przed innym, het tam na obłokach, gdzie go zapewne oczyszczono z zarzutu zbrodni i pozwolono swobodnie zajmować się rymotwórstwem.

Przed śmiercią jednakże, sprawił sobie jeszcze satysfakcyą.

Oto, kazawszy rozłożyć dobry ogień z porąbanego na kawałki krawieckiego stołu na kominie, rzucił na ten ogień ostatni swój utwór: „voyage-frak“ cudowny z *dyabelskim przyrządem*, i takowy spalił najuroczyściej.

Żona mówiła, że szkoda sukna,—ale pan Kortkowski od tego był poetą, aby na podobne uwagi nie zważać.

Otóż obrazem tego autodafé nowego, zakończymy i naszę... epopeę prozą.

Wystawcie sobie tedy państwo duży, zasmolony komin—na kominie tym obfity palący się ogień—a na tym ogniu, płonący cicho i zwolna, jak wszystkie ofiary niesprawiedliwości ludzkiej frak... pana asesora, Alfreda Gromigrackiego... no, i zarazem w kącie izdebki, na mizernym barłogu z trochy słomy i siana, dogorywającego, z okiem zimno błyszczącem, z wyrazem satyry na zaciśniętych ustach, twórcę tegoż fraka, pana Anastazego-Wojciecha-Sylweryusza trzech imion Kortkowskiego.... Ot i wszystko....

— A sens z tego wszystkiego teraz jakiż—jaki?

— Sens... że źle, gdy *wieszcz* robi nie wiersze lecz... fraki!

KONIEC.

Z DOMU I DLA DOMU.

Mąka grochowa. Z pomiędzy pokarmów używanych przez ludzi na pożywienie, wszystkie w ogóle strączkowe, jak groch polny, fasola, bób, soczewica i t. p. należą do najpożywniejszych, jako przymiotami swemi zbliżające się do chleba i mięsa, a zatem w zdrowym organizmie wytwarzające krew, mięso, tłuszcze i mleko. Nadto rośliny te zawierają jeszcze w swym składzie fosfor, niezbędnie potrzebny do wytwarzania mózgu i kości. Groch zatem jest pożyteczny tak dla ciała jako i ducha.

Obok jednakże tych pożywnych przymiotów, nader małe znajduje zastosowanie w praktyce, a to z powodu nieznajomości fizjologii tych roślin i odpowiedniego ich przygotowania do spożycia. Łupina grochu, tak samo jak wszelkich roślin zbożowych, acz zawiera w sobie nader pożywne składniki, nie rozpuszcza się jednakże dokładnie, ani przez ślinę, ani w soku żołądkowym lub kiszkowym, częstokroć sprowadza chorobę i staje się ciężarem dla ciała. Najsilniejezy nawet żołądek, doznaje obciążenia, nadymania i groch w znacznej części niestrawiony, zatem bez żadnego pożytku dla organizmu wydziela na zewnątrz.

Groch wreszcie nie w każdej wodzie daje się łatwo ugotować mianowicie studziennej. Rozmaite bowiem sole mineralne rozpuszczone w wodach twardych, które w kotłach i samowarach obsiadają w postaci kamiennej skorupy, łączą się z pewnemi składowemi częściami grochu i tworzą z niemi połączenia bardzo twarde i niestrawne, które woda deszczowa rozpuszcza i czyni pożywnemi.

Gotując zatem groch, aby go uczynić łatwiejszym do rozgotowania się na massę i uczynić przez to strawniejszym i pożywniejszym, należy go pierwej namoczyć na dwanaście godzin w wodzie deszczowej, a braku tej w miękkiej i takiejże samej gotować. Gotując przeto groch polny, bób, fasolę lub soczewice w miękkiej wodzie zyskujemy nietylko na ich pożywności, smaku, ale oszczędza się również i znaczna część paliwa.

Dla rozleglejszej zaś konsumpcyi tychże produktów, jako ze wszech miar swemi pożywnemi własnościami na to zasługujących, aby również i osoby z słabszemi żołądkami mogły je spożywać w odpowiedniej ilości, najwłaściwiej byłoby wyrabiać mąkę grochową, a oddzielone otręby wraz z innemi, które obecnie marnują się bez najmniejszej korzyści, przeznaczać na pokarm dla zwierząt domowych.

Mając pod ręką gotową mąkę grochową, można w każdym czasie przyrządzać ową wyborną zupę grochową, tylu liczącą amatorów, sypiąc jej wedle upodobania na wrzącą wodę i gotując przez kwandrans. Zupa z mąki szablakowej czyli fasoli, jest również bardzo smaczną i pożywną.

* *

Peklowanie mięsa. Ośm funtów sóli, trzy funty cukru i ćwierć funta saletry rozpuszcza się w trzydziestu sześciu funtach wody, roztwór gotuje się i filtruje przez bibułę. Rzeczonym płynem zalewa się mięso tak, aby nim było zupełnie pokryte. Dobrze jest przed włożeniem do płynu krew z mięsa starannie wycisnąć, w przeciwnym bowiem razie, w cieple łatwo ulega gniciu. Wieprzowina do gotowania zostawia się w tej kąpieli od trzech do czterech dni, szynka zaś dwa tygodnie. Pod wpływem tego roztworu, nawet najwięcej łykowate mięso wołowe, staje się kruchem i delikatnem.

* *

Wywabianie plam atramentowych z materyi kolorowych. Do wywabiania plam atramentowych z materyi kolorowych, które nie znoszą działania ciał kwaśnych, jak: kwasu szczawiowego, chlorku wapna i t. p. służy z dobrym skutkiem stężony roztwór pyrofosforanu sodu. Plamę należy zmywać dość długo tym roztworem, a chociaż nie łatwo ustępuje, to jednak nie należy tracić cierpliwości. Plamy zastarzałe długo się opierają działaniu tego środka, świeże zaś zawsze łatwo z dobrym skutkiem dają się wywabić.

* *

Proszek do czyszczenia zębów. Jednę uncję miału węglanego upalonego z miękkiego drzewa jak wierzby lub lipy, pół uncji cukru sproszkowanego, trzy drachmy chiny i uncję kremortartari, zmięszać razem dodawszy nieco popiołu z cygar lub papierosów. Mieszanina ta jest najlepszym środkiem do czyszczenia zębów, choć niektóre z tych substancye brane pojedyńczo, okazałyby się szkodliwemi dla zębów, połączone zaś w powyższym stosunku sprawiają najlepsze skutki.

W ogóle pragnąc utrzymać zęby w pożądanym stanie zdrowia i czystości nie należy używać żadnych specyfików z składem tajemniczym czyszczącym zęby, gdyż w nich zwykle znajduje się kwas siarkowy szkodliwie w następstwie działający. Wprawdzie wszystkie kwasy czyszczą i bielą zęby, ale je następnie psują i przyprowadzają do zupełnej utraty. Również wszelkie ostre proszki są szkodliwe dla zębów, jako niszczące ich emalję i drażniące dziąsła.

* *

Utrzymanie białości i delikatności rąk. Mączka z kasztanów zwyczajnych, nadaje ręce piękny i delikatny połysk, i nieporównanie jest lepszą niż używana powszechnie przez płeć piękną mączka migdałowa, która często szpeci rękę.

* *

Oszczędność w gotowaniu kawy. Im kawa drobniej jest sproszkowaną, tym jej mniej potrzeba, tak dalece, iż jeśli będzie w moździerzu utarta na mąkę, jak to ma miejsce na wschodzie, potrzeba tylko $^2/_5$ ilości kawy grubo mielonej, dla otrzymania tej samej ilości równej mocy wyciągu.

* *

Wprawianie szyb u okien. Przy osadzaniu szyb w oknach, należy tę stronę szyby, która przy walcowaniu w fabryce była do góry obróconą dać na zewnątrz. Tym sposobem otrzymuje się piękniejsze okna, gdyż strona ta jest więcej świecącą i nie ma owych nierówności jakie pochodzą z kamienia, na którym tafle w fabryce prostują.

ROZMAITOŚCI.

— **Nowy przyrząd do gaszenia pożarów**, Pożary czyszczą miasta, a wsie rujnują i przyprowadzają do upadku.

Nie idzie zatem aby nie były dotkliwą równie klęską dla miast, ale nieporównanie dotkliwszą stają się dla wsi. Po miastach zwykle na wypalonych zgliszczach powstają większe, wygodniejsze i okazalsze domy, łatwość bowiem nietylko o materjał ale i o robotnika. Pożar wreszcie na wsi, niszcząc całoroczne zbiory pozbawia uratowany od ognia inwentarz paszy, który przy braku schronienia odpowiedniego marnieje i ginie i rola pozbawioną jest nietylko odpowiedniej uprawy z powodu braku nawozu, ale częstokroć i siły pociągowej dla mechanicznego jej uprawienia. Odmienne są wreszcie i środki ratunku po miastach niż po wsiach gdyż zwykle w innych warunkach znajdują się zabudowania wiejskie a w innych miejskie.

Bacząc na te okoliczności p. Porrot zaleca następny środek, jaki po wielu wsiach francuzkich używanym jest do gaszenia pożarów. Przyrząd stanowi wielka miotła brzozowa, obszyta grubem płótnem w ten sposób, aby wszystkie jej pręciny były objęte płótnem, lecz nie bardzo przyciśnione jedna do drugiej. Taka miotła będzie miała potrzebną sprężystość i da się zastosować w każdej potrzebie. Nadto przyszywa się na powierzchni płótna w kilku rzędach płaty w fałdy złożone mające cztery lub pięć cali szerokości. Takie narzędzie przymocowane na długiej lub krótkiej żerdzi, stosownie do potrzeby, zmaczane w wodzie nasyconej odpowiednio węglanem sody, przesuwa się w miejscu ognia. Kilkanaście takich, większy nawet nieco pożar przytłumić może.

Park zatem wiejskiej straży ogniowej stanowić będzie, kilkanaście podobnych mioteł, para bosaków, kilka drabin, para drybusów do maczania w nich mioteł, odpowiednia ilość wemborków parcianych i parę kamieni węglanu sody.

Koszt na sprawienie tych narzędzi nie wielki, jak również utrzymanie ich w należytym stanie; wszystko to sprawić można z kar przez sądy gminne za różne przewinienia policyjne ściąganych.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 28 Мая (9 Іюня) 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 36).

Kiedy wszystko obejrzeli i pierścionek czekał gotowy, była blisko piąta, a że dzień był gorący a droga długa i spieczona, Arczy wniósł aby powrócili czółnem do Chillingford. Pobiegł do mostu wytargować się z przewoźnikiem, a Debenham wolno za nim postępując ujrzał biuro pocztowe na rogu sąsiedniej ulicy. Zawahał się, przeszedł, zatrzymał się i nazad się zwrócił.

Zdawało się nieprawdopodobnem, żeby listy tam na nich czekały; było to jednak możliwem. Co do niego, od chwili wyjazdu z domu regularnie odbierał wiadomości od matki której adres swój przesłał, a nikt inny do niego nie pisywał. Jednakże on i Arczy mieli być tydzień temu w Monmouth, a że Arczy miał interesa, mógł więc być i list. W każdym razie, nie zawadziłoby się dowiedzieć.

Wszedł więc do biura pocztowego i zapytał się czy nie było listów dla pana Arczybalda Blyth,

Poczmistrzowa, ładna kobieta w lokach i ponsowej koszulce, przejrzała cały szereg przegródek w biurku stojącem za nią i oznajmiła, że nie było listów do pana Arczybalda Blyth.

— Ani dla pana Temple Debenham?

Zwróciła się znowu do przegródek i wyciągnęła kopertę czarnym lakiem zapieczętowaną. Był list, jeden list, dla pana Temple Debenham.

Obejrzał go, pieczęć pocztowa nosiła datę przeszłego tygodnia.

Tego samego dnia odebrał list od pani Debenham, tak jak każdego poranku, od czasu kiedy był w Chilingford, ale w żadnym z nich nie wspominała o tym liście oczekującym aby się po niego zgłoszono na poczcie w Monmouth. Wnioskując więc że został wyprawionym nim oznajmił swój zamiar pozostania pod *Srebrnym Pstrągiem*, i że wiadomości jakie zawierał musiały być teraz dosyć zadawnione, włożył list do kieszeni i pobiegł do mostu przekonać się jaki był skutek zabiegów Arczy. Zastał tego wiernego i niezmordowanego giermka siedzącego na balustradzie, pogwizdującego wesołą śpiewkę czuwającego nad wysileniami przewoźnika, który podpłynąwszy do samych schodów skwapliwie urządzał wszystko na drogę ściągając kurz z ławek, rozciągając kawałek dywana, i t. d.

— Spojrzyj na naszą szybko-lotną łódź, rzekł Arczy, gdy Debenham stanął koło niego zadyszany biegiem. Charon domagał się pięć szyllingów, twój Pilades ofiarował trzy i dobiliśmy targu na trzy i pół. Nie spoglądaj tak poważnie; piesza przechadzka także cóś kosztuje bo na tym świecie nic darmo otrzymać nie można. Patrz, kupiłem bułek, numer gazety i blaszanną piszczałkę; bułki dla podtrzymania sił naszych fizycznych, gazetę dla wydoskonalenia naszego umysłowego i duchowego, a blaszaną piszczałkę, abyśmy płynąc mogli cieszyć się muzyką. Będziesz mógł także dziś wieczór wyprawić na niej serenadę pięknej Julii. Bardzo to będzie romantycznie a niedrogo; kosztuje tylko jeden penny. No! przewoźniku, gotowi jesteście?

Przewoźnik dotknął ręką czapki na znak gotowości. Zeszli więc, usiedli na ławkach, odbili od brzegu, i za chwilę płynęli tak szybko jak przy pomocy pary doskonałych wioseł i bystrego prądu rzeki płynąć było można.

Debenham przypomniał sobie wtedy o liście ale jak go tylko wyjął z koperty spostrzegł coś niezwyczajnego. Najprzód był to bardze długi list, napisany na wielkim arkuszu papieru, charakterem drobniejszym i ściślejszym niż zwykłe pismo pani Debenham, zajmował przeszło trzy strony. Wreszcie cały dokument wyglądał raczej na staranne przepisanie niż na list śpiesznie napisany jak było zwyczajem pani Debenham.

Zdziwiony tem wszystkiem; z nagłem a nieokreślonem uczuciem niepokoju, młody człowiek zaczął czytać; nim doszedł do trzeciego lub czwartego wiersza, zatrzymał się, spojrzał na datę i na znak pocztowy na kopercie. Znów zaczął i przeczytał połowę pierwszej strony, ale wtedy zatrzymał się drugi raz nie tak zmięszany jak zdziwiony i niepewny, rzucił niecierpliwe spojrzenie na Arczy; który z całych sił wykonywał murzyńskie śpiewy na blaszanej piszczałce, złożył list, włożył go napowrót do kieszeni i głęboko się zamyślił.

— Nic złego, spodziewam się, powiedział Arczy zatrzymując się wśród świetnego pasażu.

Debenham potrząsł głową.

— Nie, powiedział, nie ma żadnych wiadomości w tym liście.

Arczy spojrzał na niego dopytująco.

— Ale nie pytaj się o to, mój drogi, ciągnął dalej prędko Debenham. Niewiem jeszcze sam dobrze co jest w nim, dawne jakieś rzeczy o ile mogłem widzieć. Nie mówmy o tem, proszę cię.

I tak się rzecz skończyła.

Pan Alleyne z córką właśnie siedli do stołu, kiedy powrócili do Chillingford; ale później kiedy Temple i Arczy sami zjedli swój skromny obiad i zmienili ubiór o tyle o ile im pozwalała ich szczupła garderoba, pan Alleyne wyszedł, wypalić zwykłe poobiednie cygaro i zastał ich na ganku. Zaprosił ich jak co wieczór na herbatę i na wista i kiedy się przechadzał przed domem wraz z Arczym, Debenham rozmawiał z Julią przez okno od salonu.

— Wyglądasz, powiedział, jak portret w ramach z bluszczu i powoju, albo raczej jak te obrazy przez dwóch mistrzów z których jeden malował głowę, a drugi otaczał ją wieńcem z kwiatów.

— Spodziewam się, że jestem podobna, powiedziała śmiejąc się panna Alleyne.

— Zachwycająco podobna... do anioła, rzekł namiętnie rozkochany młodzieniec.

Wyjął potem swój pierścionek, przymierzył go na jej palec i błagał ją, żeby go nosiła dla jego miłości.

— Pomyśl, że to moje serce, powiedział, pokazując jak się otwierało, i staraj się szkody mu nie wyrządzić.

— Twoje serce ma sprężynę!

— Tak, widzisz, otwiera się.

— I to są twoje włosy?

— Tak to moje włosy.

— Ale ty nie możesz być zamkniętym w twojem własnem sercu. Musi to być moje serce kiedy ty w niem zamieszkujesz.

Pan Alleyne był w tej chwili tyłem do nich odwrócony i Debenham porwał jej rękę i okrył pocałunkami.

— Nigdy mi nic tak słodkiego jeszcze nie powiedziałaś, zawołał. Czy doprawdy mieszkam w twojem sercu? Czy jest ono mojem schronieniem, mojem królestwem na zawsze?

— Uspokój się, albo zaraz cofnę te słowa, odrzekła panna Alleyne, oddalając się trochę od okna.

— Mogłażbyś być tak okrutną?

— Nie wiesz jeszcze jak okrutną być umiem. Jestem najzłośliwszą istotą na świecie.

— Gdybym tylko był pewny, że tak mnie kochasz, jak ja ciebie, wolnoby ci było dokuczać mi ile by ci się podobało.

— Zdaje mi się kochanko, powiedział pan Alleyne, zbliżając się do okna, że mogłabyś zadzwonić, aby podano herbatę.

Panna Alleyne zadzwoniła o herbatę, panowie powrócili do pokoju, i położyli koniec rozmowie, ale ona miała jego pierścionek na palcu, była jego partnerką przy wiście, i ręka jej zatrzymała się w jego dłoni gdy się rozchodzili.

— Niedługo wyjdę znowu, szepnął. Powiedz mi jeszcze dobranoc z twego okna.

Odpowiedziała mu uśmiechem, będącym odpowiedzią.

Poszedł do swego pokoju i zamknął się w nim jak gdyby już na noc. Niechciał zaraz wyjść, dla dwóch powodów, najprzód, że nie życzył sobie mieć Arczy za towarzysza, pod oknem panny Alleyne, a potem dlatego, że od kilku godzin już szukał sposobności by mógł spokojnie przeczytać list matki. Usiadł teraz na brzegu łóżka, wziął świecę w jednę rękę a list w drugą i zabrał się do starannego przejrzenia tego co w sobie zawierał.

ROZDZIAŁ XVIII.

List pani Debenham.

List jak mówiliśmy był długim i nabitym, widząc raz jeszcze jak długim był i jak drobne było pismo, Debenham doznał znowu tego uczucia nieokreślonej trwogi, które go wprzódy ogarnęło, ale powiedział sobie, że przeczucia są niczem, że matka nie mogła nic napisać coby mu nie było przyjemnem do czytania i zaczął.

Oto co przeczytał.

Londyn, Canonbury.
4-go Sierpnia 1860.

Mój najdroższy synu!

Życzę sobie, żebyś ten list odebrał kiedy się dostaniesz do Monmouth; przesyłam go więc, żeby na ciebie tam oczekiwał na poczcie, wiedząc, że go prędzej czy później odbierzesz.

Zdziwisz się kiedy ci powiem, że będąc w Monmouth, znajdziesz się zaledwie o dwie mile od miejsca gdzie twój ukochany ojciec jest pochowanym. Wiesz że umarł w północnej Walii, ale nie wiesz, że się urodził w Benhampton, w hrabstwie Monmouth, i że według własnego jego życzenia, zwłoki jego złożono w grobach kościelnych w Benhampton, gdzie wiele pokoleń jego rodziny spoczywa. Ujrzałam to miejsce po raz pierwszy dopiero w dniu, kiedy, po długiej i smutnej podróży, rozłączyłam się z tem co mi jeszcze pozostawało na ziemi — z moim najdroższym przyjacielem i towarzyszem; od tego czasu nie byłam tam. Ty jednak powinieneś tam się udać, powinieneś wiedzieć to czego nie miałam jeszcze odwagi ci powiedzieć.

— Był to zawsze dla mnie bolesny przedmiot, ale nie jest to jedyny powód, dla którego go unikałam. Unikałam go więcej przez wzgląd na ciebie, moje drogie dziecko, jak na siebie. Życie twoje do tego czasu przynajmniej nie zaznało goryczy żalu za przeszłością. Byłeś nieznanym, pracowitym i szczęśliwym i słusznie sięgałeś po powodzenie w zawodzie jaki sobie obrałeś. Jakież byłoby moje zmartwienie, gdyby to co muszę ci powiedzieć mia-

ło zamącić pokój twego umysłu i uczyniło cię niezadowolonym z twego obecnego położenia!

Traf cię jednak zaprowadził na miejsce gdzie dzieje twojej rodziny, można powiedzieć, biorą swój początek i koniec swój znalazły i jest moim obowiązkiem dać ci poznać jakie stosunki wiążą cię z temi stronami, abyś korzystał ze sposobności poznania miejsca urodzenia i ostatniego spoczynku twego ojca i jego przodków.

Twój ojciec pisał się *De Benham*, jak wszyscy poprzedzający De Benhamowie. Pierwszym De Benhamem, o którym istnieje pewna wiadomość, był Godfryd Wilhelm, udarowany przez Króla Edwarda pierwszego posiadłością w hrabstwie Monmouth roku 1273. Zdaje się, że ten Godfryd Wilhelm wybudował najdawniejszą część obecnie zrujnowanego zamku; w każdym razie był protoplastą rodziny i nadał miejscowości jej imie. Znajdziesz wieś nazwaną Benhampton, kościół tego samego nazwiska, a nawet, zdaje mi się strumyk nazwany przez wieśniaków rzeką Benham. Sześcio-wiekowe pokolenia De Benhamów leżą w grobach kościelnych w Benhampton, pomniki ich okrywają ściany, imiona wyryte są na kamiennej posadzce. Twój ojciec pochowany jest pod północnem oknem, na lewo od ołtarza; gładki kamień z jego imieniem i datami jego urodzenia i śmierci wprawiony jest w pobliską ścianę. Żona jego zanadto była ubogą, żeby mu wystawniejszy pomnik postawić, syn może kiedy dopełni tego obowiązku.

Moje najdroższe dziecko, niech widok tego wszystkiego nie zamąca twego szczęścia. De Benhamowie jako rodzina nie istnieją już; wszystko co ich było przeszło w obce ręce i imie ich nawet jest zapomnianem. Jesteś ostatnim z ich rodu, i z ich obszernego dziedzictwa pozostają ci tylko groby gdzie śpią snem wiecznym przodkowie twoi. Trzeba żebyś uległ przed siłą tych wypadków, mój synu i nie poddał się czczym żalom. Byłeś zawsze ubogim, i zawsze szczęśliwym, a ta wiadomość nie uczyni cię uboższym i nie powinna cię uczynić mniej szczęśliwym. Zamiast żałować tego co straconem zostało nim się urodziłeś, powinieneś się cieszyć, że przedstawiasz szlachetną i starożytną rodzinę! To samo już jest skarbem i powinno cię natchnąć nową odwagą do staczania tego, co tak często nazwałeś walką życia. Zresztą najlepszą częścią posiadłości De Benhamów było dawne ich imię i nieskazitelna sława, a te odziedziczyłeś po nich. Co do mnie, dumniejszą jestem, że syn mój posiada ich cnoty niż wszystkie własności i przywileje, które stracone zostały.

Włości te i przywileje nikły tak przez wiele pokoleń przed twoim ojcem. Wielka część była skonfiskowaną za czasów rzeczpospolitej, a większa jeszcze zmarnotrawiona przez De Benhamów żyjących za panowania czterech pierwszych królów hanowerczyków. Po kolei obdłużali, przedawali i zmniejszali majątek, tak że kiedy twój dziad umarł pozostawiając twego ojca jedenastoletnim sierotą, resztka go tylko jeszcze istniała. Ta resztka oddana w ręce troskliwego opiekuna była starannie zachowaną przez czas jego małoletności. Skończył szkoły w Eton i udał się do Oxford z zamiarem wstąpienia potem do wojska. Zdolności jego, chociaż nie nadzwyczajne, nie były miernemi, i był dobrym aż do słabości. Jak większa część ludzi łagodnego usposobienia, był trochę skłonnym do lenistwa i pracy nie lubił był wspaniałomyślnym, ufającym i łatwowiernym jak dziecko. Natura zdaje się stwarzać takich ludzi na to, aby ich ofiarami czynić niepoczciwych i przebiegłych, którzy ich jakby instynktem przeczuwają i pożerają bez litości. Nieszczęściem ojciec twój popadł w ręce takiego drapieżnego ptaka trzeciego roku swego pobytu w uniwersytecie i stał się jego łupem. Skreślę tylko w krótkich słowach dzieje jego upadku majątkowego.

Młody ten człowiek nazywał się, zdaje mi się Wynyatt; miał dopiero dwadzieścia lat a twój ojciec skończył już dwadzieścia jeden, ale młodszy był o wiele starszym w rzeczach tego świata. Pochodził ze złego gniazda, ojciec jego, którego się własna rodzina wyparła, był człowiekiem zniesławionym, oddany zabawom, znany na polach wyścigowych, ożeniony z włoską śpiewaczką wątpliwego prowadzenia. Syn w dwudziestu leciech użył i nadużył wszystkiego, był zepsutym i żadnych nie znał względów; i nabrał nieszczęsnego wpływu nad umysłem twego ojca, wciągnął go w sposób życia nieporządny i szalony, ułatwił mu robienie długów, namówił go do podpisania różnych papierów, jednem słowem zrujnował go...

Nigdy upadek nie był szybszym i zupełniejszym, tak niewiele było do stracenia i to niewiele tak prędko poszło; w przeciągu kilku tygodni, twój ojciec, z majątku wyzuty, znalazł się w nędzy. Opuścił uniwersytet nie zdawszy examinu, uciekł na ląd stały zostawiając swemu opiekunowi i dłużnikom swobodę zupełną rozporządzenia tem co do niego należało. Tymczasem, stary Wynyatt niechciał zapłacić grosza długów, na które i twój ojciec także się podpisał, syn jego był małoletnim i niemógł być do odpowiedzialności pociągniętym; twój ojciec doszedł już do pełnoletności i odpowiadał za wszystko. Wtedy to ostatki niegdyś obszernych włości De Benhamów były sprzedane i twój biedny ojciec znalazł się na zawsze zrujnowanym.

Nędzna pensya nie dochodząca nawet pięćdziesięciu funtów zapewnioną mu została, dzięki staraniom opiekuna i prawników; pozostał za granicą i ukrywał się więcej jak przez rok w nieznanem miasteczku na granicy Włoch i Tyrolu. Nareszcie otrzymał przez protekcye, jakie miał w Wiedniu, stopień oficerski w wojsku austryackiem. Nie opuścił go jak wiesz, dopiero na rok przed śmiercią, kiedy zdrowie jego już zupełnie zniszczonem było i powróciliśmy wtedy do Anglii. Dziewięć lat minęło właśnie od czasu jak się ze mną ożenił, a ty jedyne nasze dziecko urodziłeś się w rok po ślubie. Jako najmłodsza córka biednego kapelana angielskiego w zagranicznej stolicy, byłam od dzieciństwa przyzwyczajoną do ubóstwa, jak ty nim byłeś, mój synu i nie pojmowałam dlaczego twój ojciec nie był równie jak ja szczęśliwym i zadowolonym. Ale życie jego było tylko długim żalem, nie mógł znieść niedostatku, nie mógł się pogodzić z utratą swego stanowiska w towarzystwie, nie mógł znieść tego, że żona jego i dziecko nędznie ubrani i nędznie mieszkający, żyli w ukryciu. Przypominasz sobie Temple, jak smutnym był twój kochany ojciec, jak czasem całemi godzinami siedział przy otwartem oknie, milczący i zamyślony, głowę oparłszy o rękę. Przypominasz sobie podróż do Anglii, i lato które spędziliśmy, kiedy tak już był chorym, w górach północnej Walii. Zdaje mi się także iż pamiętasz smutne miejsce gdzie umarł, gdy ostatnie liście opadły.

Długi to jest list, mój synu, a jednak nie wiele powiedziałam z tego co zamierzałam, ale czuję że żaden list, jakkolwiek długi i obfity w szczegóły, tyle ci nie powie o przeszłości ile się dowiesz w ciągu kilku godzin przepędzonych w Benhampton. Napisz do mnie po twojej tam bytności. Zdaje mi się, że dosyć cię znam iżby być pewną, że tak jak tylko odczytasz te moje słowa nie znajdziesz spokoju dopóki nie odwiedzisz tego miejsca.

Kochająca matka.
Adelaida Marya De Benham.

Zatrzymując się kilka razy i w tył się nieraz cofając, młody człowiek przeczytał ten list od początku do końca i potem siedział długo na łóżku, pogrążony w rozmyślaniu, trzymając w jednem ręku świecę a list w drugiem. I znów go odczytał.

Był to list długi, bardzo długi, prosty, szczery, poważny i napisany jak już zauważaliśmy prawie z urzędową ścisłością. Debenham czuł czytając go, że każde słowo matka jego starannie ważyła, zdawało mu się także, iż w każdem zdaniu odkrywa pewne hamowanie uczucia i tę samą baczność nawet w streszczaniu faktów. Im więcej razy odczytywał pewne ustępy, tym silniejszem stawało się to wrażenie; było ono niepewne i trudnoby mu słowami je wyrazić, ale miał jakieś nieokreślone przeczucie, że nie wszystko jeszcze było mu znanem.

List w samej rzeczy prawie nic nowego mu nie zwiastował, wiedział oddawna, że szlachetna krew płynęła w jego żyłach i że położenie majątkowe jego ojca nie zawsze było tak opłakanem. Przyjemną zapewnie była dlań wiadomość, że ród *De Benhamów* sięgał tak dalekiej przeszłości i że miał prawo nosić arystokratyczne normandzkiego pochodzenia nazwisko, ale nic tak bardzo szczególnego w tem nie było, a list zdawał mu się niepotrzebnie wypracowanym, jeżeli szło o to tylko, żeby mu te rzeczy oznajmić i dać możność odwiedzenia grobu jego ojca.

Zdawało mu się tedy coraz bardziej, że było coś, czego matka nie dopowiedziała, coś co nie było prostem zapomnieniem szczegółu, coś ważnego, co powinien był wiedzieć i o czem ona dla powodów, których nie mógł sobie wyobrazić, nieśmiała mu donieść.

Jakiego rodzaju mogła być ta zatajona wiadomość? nie mógł odgadnąć, bał się jej prawie, lękając się dowiedzieć o przykrej może prawdzie, której wolałby zostać nazawsze nieświadomym. Ale był pewnym, że jakakolwiek była, smutna czy przyjemna, dowie się o niej w Benhampton, i postanowił udać się tam nazajutrz rano.

Przez ten czas świeca wypaliła się prawie cała, księżyc zaszedł za górami i piękna noc letnia ustępowała już miejsca pierwszej jutrzence; ale zatopiony w swym liście i myślach Debenham nie zważał ani na świecę, ani na księżyc, ani na piękność pory, dopóki wśród głębokiej ciszy zegar w kuchni nie wybił pierwszej po północy.

Porwał się i wstał z wykrzyknikiem trwogi. Zdawało mu się niepodobieństwem, żeby już była pierwsza, spojrzał na zegarek i zaledwie mógł mu uwierzyć. Nie chciał przypuścić przyszedłszy na górę o wpół do jedenastej, że przepędził półtrzeciej godziny. A panna Alleyne? panna Alleyne, czekająca na niego w oknie, żeby mu dobranoc powiedzieć, kiedy się już wszyscy położą? Wielki Boże! on o niej nie pamiętał.

Cóż jej teraz powie, kiedy ją nazajutrz zobaczy? Mogłże wyznać ukochanej swojej, że o niej zapomniał?

ROZDZIAŁ XIX.

Benhampton.

— Hola tam! Czy tędy droga do Benhampton?

Chłop tak zagadnięty zatrzymał się, oparł kosę o ziemię, położył rękę na parkanie i obejrzał się. Widząc jednak mężczyznę skromnie ubranego, piechoto idącego ku niemu i okrytego kurzawą, znów kosę na ramię założył i po chłopsku odpowiedział innem pytaniem.

— Może idziecie do pana Bowstead?

— Nie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Ценаурою, Варшава 26 Мая (7 Iюня) 1875 г.